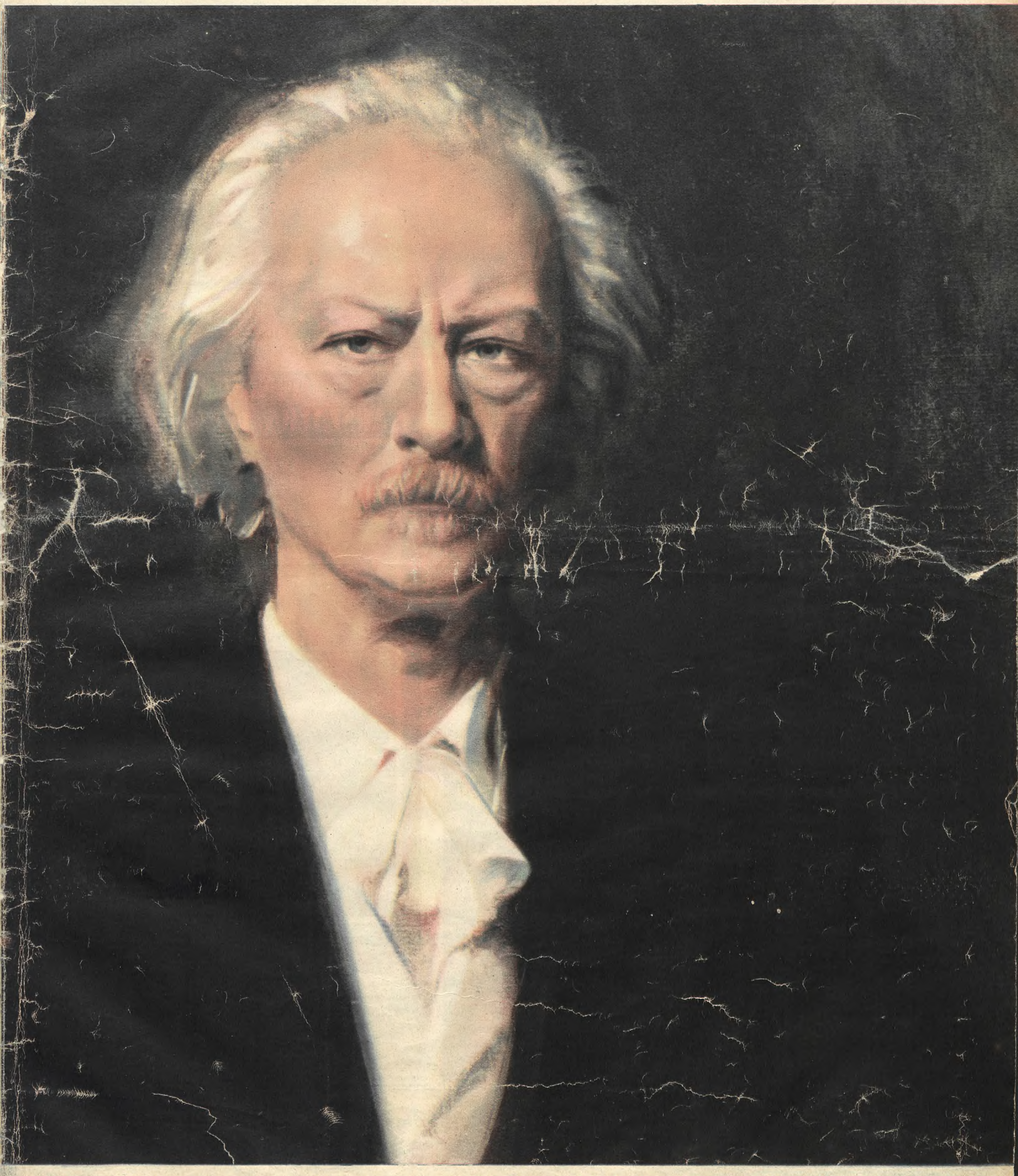
ŚWIATOWID

9 LUTEGO 1935 R.
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2·20.

nr. 6

PRZED WYJAZDEM I. PADEREWSKIEGO DO AMERYKI.



Mistrz Ignacy Paderewski zamierza w bieżącym roku udać się do Ameryki, aby tam dać szereg koncertów, z których jeden będz[ie] po raz pierwszy transmitowany na cały świat przez wszystkie stacje amerykańskie. Powyżej zamieszczamy ostatni portret Ignaceg[o] Paderewskiego, malowany w roku ubiegłym przez znanego malarza Tadeusza Stykę.

IMIENINOWY HOŁD MŁODZIEŻY.



W ubiegły czwartek odbyło się uroczyste złożenie życzeń imieninowych przez młodzież szkolną Panu Prezydentowi Rzplitej. — Młodzież zgromadziłasię na dziedzińcu zamkowym z pocztami sztandarowemi i orkiestrami, które odegrały hymn narodowy w chwili, gdy Pan Prezydent ukazał się na dziedzińcu (na zdjęciu). W imieniu młodzieży przemówił do Dostojnego Solenizanta uczeń Makowski, poczem chóry odśpiewały pieśni oraz Pierwszą Brygadę.

DEMONSTRACJE STUDENTÓW FRANCUSKICH.



Młodzież francuska, studjująca na wyższych uczelniach w Paryżu urządziła w ubiegłą sobotę w dzielnicy Quartier Latin burzliwe demonstracje pod hasłem: Francja dla Francuzów. Studenci ci żądają, aby na przyszłość stanowiska lekarzy, adwokatów i inżynierów były we Francji obsadzane wyłącznie przez Francuzów, a nie obcokrajowców. Agitacja w tym kierunku wyszła z kół nacjonalistycznych, które propagują ostrą ksenofobję i antysemityzm. Na zdjęciu demonstranci uciekający przed szarżą policji.

ZGON SIOSTRY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.



W Warszawie zmarła ś. p. Zofja Felicja z Piłsudskich Kadenacowa, siostra Marszałka Piłsudskiego, a wdowa po ś. p. Bolesławie, lekarzu. Osierociła trzy córki i dwóch synów. Zwłoki zmarłej zostały przewiezione do Wilna, gdzie spoczęły w grobie rodzinnym. Cześć pamięci gorącej patrjotki.

Polska Agencja Telegraficzna — Warszawa.

ROZMOWY FRANCUSKO-ANGIELSKIE.



Do Londynu przybyli przedstawiciele rządu francuskiego premjer Flandin i minister Laval na narady polityczne. Kulminacyjnym punktem tych rozmów będzie ustosunkowanie się Anglji i Francji do zbrojeń niemieckich i paktu wschodniego. Anglja zaniepokojona jest przedewszystkiem rozbudową niemieckiej floty powietrznej. Dlatego Francja proponuje zawarcie konwencji lotniczej, zobowiązującej Anglję, Francję, Belgję, Włochy i Niemcy do natychmiastowej akcji lotniczej, przeciwko państwu, któreby zaatakowało jednego z kontrahentów tego układu. Wedle nieoficjalnych doniesień wizyta ministrów francuskich jest wstępem do zawarcia konwencji militarnej angielsko-francuskiej, takiej, jaką zawarł Lord Grey w przededniu wojny europejskiej. Na zdjęciu powitanie gości francuskich na dworcu w Londynie przez premjera Mac Donalda i ministra Simona.

NOWE SAMOLOTY W POLSKIEJ KOMUNIKACJI LOTNICZEJ.

P. L. L. „LOT", doskonaląc swoją organizację, zakupiły w Stanach Zjednoczonych A. P. dwa samoloty komunikacyjne typu Douglas D. C. 2, stanowiące ostatni wyraz światowej techniki lotniczej.

Wprowadzenie na polskie linje lotnicze tych nowych samolotów (co nastąpi zapewne nię wcześniej, jak w końcu letniego sezonu) poza oczywistemi korzyściami dla podróżnych ma niezmiernie poważne znaczenie dla naszego przemysłu lotniczego. Podobny system zakupywania wyjątkowo wartościowych fabrykatów zagranicznych w celu doskonalenia odnośnej gałęzi własnego przemysłu jest stosowany przez wszystkie kraje i np. samoloty i silniki lotnicze zagranicą zakupują zarówno Wielka Brytanja, jak Francja, Italja, Niemcy i t. p., pomimo bardzo silnie rozwiniętego rodzimego przemysłu lotniczego, a licencję na budowę samolotów Douglas nabyła na Europę znana u nas fabryka holenderska Fokkera.

Nowe samoloty typu Douglas nabyte przez Polskę będą wyposażone każdy w dwa silniki typu Pegasus III po ca 750 K. M., rozwijające szybkość przelotową około 300 km. na godzinę; dzięki temu skróci się naturalnie bardzo znacznie dzisiejszy czas podróży powietrznych na tych linjach, które będą obsługiwane nowemi samolotami (np. przestrzeń, dzieląca Warszawę od Krakowa Douglasy będą mogły przelatywać w ciągu ca godziny).

Samoloty typu Douglas wykonane są z duraluminjum i są jednopłatowcami (dolnopłatowcami). Posiadają one kajutę pasażerską urządzoną z najwyższym komfortem (długość 8,03 m., szerokość 1,68 m., wysokość 1,91 m.) i mieszczą 14-cie wygodnych foteli. Za kajutą znajduje się bufet, umywalnia oraz przedziały na bagaż i towary. Nowe te samoloty posiadają naturalnie radjo, centralne ogrzewanie i ponadto specjalną wentylację, dzięki której kajuta ma zawsze idealnie czyste powietrze. Na podkreślenie zasługuje wreszcie i ta okoliczność, że dzięki specjalnej izolacji i umieszczeniu silników na skrzydłach tylko po obu stronach kajuty warkot ich jedynie w nieznacznym stopniu dochodzi do kajuty, skutkiem czego zbyteczne staje się chronienie uszu watą i można zupełnie swobodnie rozmawiać normalnym głosem.

ZATONIĘCIE PAROWCA „MARU".



Straszliwe burze, jakie szaleją nad Atlantykiem dały się we znaki okrętom, znajdującym się na pełnem morzu, m in. japoński parowiec „Maru" doznał w czasie sztormu tak poważnych uszkodzeń, że groziło mu zatonięcie. Śruba okrętowa urwała się a stery odmówiły posłuszeństwa. Na szczęście w pobliżu pojawił się amerykański okręt „Prezydent Jackson", który niemal w ostatniej chwili zdołał uratować załogę „Maru". Na zdjęciu szalupa amerykańska przy burcie tonącego parowca japońskiego.

Scherl.

O Wielką Nagrodę Tatr.



Gonitwa o nagrodę „Swiatowida“ na torze śnieżnym w Zakopanem w dniu 2 lutego b. r. Jako pierwszy przybył „Fra Diavolo“.
WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID“.



Między bufetem a totalizatorem.

Kiedy na Tahiti gibkie i zwinne jak jaszczurki, amerykańskie dziewczątka z Chicago, uczą się ślizgać na grzbietach wysokich, kilkupiętrowych fal morskich — gdy w Bengalu, podgrzejącem potwornie słońcem, wysuszeni na pieprz gentlemani uwijają się przy grze w polo na maleńkich shetlandzkich ponys — w Zakopanem — podobnie jak w St Moritz, w Davos, na Semmeringu i w Chamonix — olbrzymie tłumy ludzi poprostu nurzają się w rozkoszy, w wirze pysznych sportów zimowych.

A więc wyścigi konne na śniegu, pod Giewontem, a więc saneczki i „boby“, oraz różnorakie konkursy na nartach — więc popisy w sztucznej jeździe na łyżwach i hockey na twardym jak stal, lśniącym, niby wielka, błękitna tafla szklanna, torze lodowym. Wszystkie programy bardzo starannie obmyślane, efektowne i fascynujące. Stadjony w barwach narodowych, ubrane flagami i zielenią: szyk, wykwint, zagranica.

Zacznijmy od wyścigów, punktu pierwszego i najpoważniejszego w bilansie, od „nimero ę“, jakby powiedział speaker pewnej radjostacji, od biegów płaskich i steeple chase — z totalizatorem.

Taki wyścig konny na ziarnistym, zbitym na „kwaśny łeb“ śniegu, to znowu nie byle co. Konkurencje są często bardzo trudne i wyniki — dość często — zawodne. Nie można nic przewidzieć, co i jak... Znam koniarzy, wyleniałych jak lisy na lato, wygów, którzy na wyścigach zęby zjedli, mających takiego „nosa“, że wystarcza gdzieś zagrać w koniki, by zjawili się w kilka minut, a którzy, jeśli chodzi o Zakopane i tipy przypuszczalnych tutaj wyników, nierzadko najfatalniej zawodzą.

„Wiem, że nic nie wiem“, mawia dziś jeden z nich, ilekroć zapytają go o zdanie.

Na szczęście, podobnych doń pesymistów jest niewielu. Zato inni, przeważnie właściciele stajen i dżokeje, z lekkim uśmiechem i takiemże sercem, udzielają jakich się zapragnie informacyj, rad, uwag i wiadomości.

Konie biegają radośnie, ludzie cieszą się jak dzieci, a nawet śnieg, jakby więcej błyszczał i bielił się — z uciechy.

Na trybunach ruch i rejwach nieustanny. Przypływ i odpływ morza. Ktoś wstaje, ktoś coś poprawia, ktoś się kręci i tu i tam; inni znowu wracają do kasy, lub z bufetu.

Policzki przeważnie zarumienione. Może od mrozu? — Czasem uszy, brody, albo nosy. Prawdziwą przyczynę tego trudno ustalić, chyba — że usiądzie się całkiem blisko...

Jakiś elegancki pan wstaje. Zabiera swój pled. Chce wyjść.

— Gdzie idziesz? — pytają go znajomi.

— Na dół, chcę zobaczyć konia... którędy się to schodzi?

— Po „koniak“?... a do bufetu! — pierwsze drzwi obok wejścia.

Gdzieindziej dwóch młodych ludzi przekomarza się:

— Co widzę? Obstawiłeś wszystkie kobyły? — śmieje się jeden. — Uj Moniek, to ty masz szczęście do dam...

— Jak kiedy? — odcina Moniek. — Że „dam“, to bardzo możliwe, ale że tobie — to ani grosza...

Zdaleka słychać donośne rżenie konia.



Poseł Marjon Dąbrowski przypina wstęgę koniowi „Isolana“, który zajął pierwsze miejsce w konkursie o nagrodę I K.C. Zdjęcie dokonane w czasie szalejącej burzy śn eżnej.





„Fra Diavolo“ zwycięzca w biegu „Swiatowida“, dekorowany przez córkę posła Dąbrowskiego. Obok widoczni m. in. poseł Marjan Dąbrowski wraz z małżonką, na prawo zaś gen. Rómmel, prezes Małopolskiego Klubu Jazdy i dyrektor Jamont.

— Co to? — pyta niespokojnie jakaś potulna panienka. — Panie Lolku, czy pan nie wie?

— Konie się śmieją, ot co jest! — zobaczyły, na co pani stawia.

Na dole, na miejscach t. zw. stojących, jakaś para, widać poważnie wygrana, umawia się na wieczór.

Kawaler jest w białych getrach, english fashion, jak z żurnalu, lornetka i kino w futerale.

— Jedźmy razem do Jaszczurówki — po kolacji — proponuje przymilnie — zabawimy się, potańczymy... (kusi) — może będą „Skoki Nocne“?...

W pierwszej chwili ona zdaje się nie słyszeć. — Jest duchem nieobecna. Patrzy na jeźdźca, który bierze przeszkodę tuż przed trybuną. Nagle czerwieni się, jak wiśnia. Szybko oglądając się za siebie, czy aby kto nie dosłyszał, kładzie paluszek na usta.

— Ja wolę ciebie, niż skoki... — mówi szeptem.

Poza stadjonem na ulicy mali góralscy dorożkarze urządzają sobie wyścigi. Dobry przykład działa cuda. Wzdłuż ulicy Sienkiewicza, z góry na dół walą trzy pary sanek (pełnych) jak zwarjowane. Prawdziwy wyścig „kumoterek“, tylko, że jury nie samo stoi na rogu. Napewno będzie „nagroda“, w formie grzywny, albo aresztu.

Pierwsze miejsce naturalnie „Lady“. Tylko, że nie hrabina, lecz koń i nie koń, ściśle mówiąc, ale wałach.

W Matkę Boską Gromniczną rozegrano na torze zakopiańskim bieg o wielką nagrodę Tatr, oraz o nagrody „Światowida“ i „I. K. C.“. Gonitwy te odbywały się w czasie szalejącej śnieżycy, w atmosferze prawdziwie podbiegunowej. Ludzie jednak nie tracili humoru, ale radowali się, że Tatry i regle gromadzą zapasy śniegu, które gwarantują zimę aż do Wielkanocy. Więc radość szalona panuje pod Giewontem. Bo zima, to żywioł tych wszystkich, którzy zjechali tutaj z najdalszych stron Polski, aby... udawać narciarzy.

Adam Marjan Nowakowski.



Start do gonitwy o Wielką Nagrodę Tatr w kwocie zł. 3.000 imienia posła Marjana Dąbrowskiego.



EKSPERYMENT Z CIĘŻKĄ WODĄ.

Sensacją ostatnich lat jest t. zw. „ciężka woda", której odkrywcą jest prof. H. C. Urey, laureat nagrody Nobla z dziedziny chemji za rok 1934. — Urey'owi udało się ustalić, że woda wodzie jest nierówna. — I tak zwyczajna woda składa się z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu, zaś zwyczajny wodór ma najniższą wagę atomową 1. Urey zaś odkrył wodę, która składa się z dwóch atomów wodoru o wadze atomowej 2 i jednego atomu tlenu. Waga tej wody jest tem samem cięższa, niżeli wody zwyczajnej i dlatego otrzymała nazwę „ciężkiej wody". Badania dalsze wykazały, że „ciężka woda", której minimalne ilości znajdują się w każdej wodzie, a którą jest niesłychanie trudno wyodrębnić, działa na organizmy trująco. — Jednokomórkowe organizmy roślinne, rozmnażające się swobodnie w czystej wodzie zwykłej, giną bardzo szybko w „wodzie ciężkiej". Także nasiona roślinne, kiełkujące prawidłowo w czystej wodzie, nie rozwijają się zupełnie w „wodzie ciężkiej".

Wręcz rewolucyjnie brzmi jednak odkrycie, że ta trująca woda jest mimo wszystko niezbędnie potrzebną do życia, oczywiście w minimalnych ilościach. Teorję tę potwierdziły liczne doświadczenia. Gdy mianowicie do naczynia z wodą zwyczajną, w której hodowano jednokomórkowe organizmy, nalano kilka kropel „wody ciężkiej", wpłynęło to korzystnie na ich rozwój.

Widocznie więc „woda ciężka", jak większość trucizn, działa skutecznie i leczniczo na organizmy w homoopatycznych dawkach, a zabójczo przy dawkach większych.

Aby rozwikłać ten problem, podjął się prof. uniwersytetu w Oslo dr. Klaus Hansen ciekawego, ale równocześnie bardzo niebezpiecznego eksperymentu. Oto wypił w swojem laboratorjum 10 gramów „ciężkiej wody" i asystentom swoim polecił obserwować zmiany, jakie dokonają się w jego ciele pod wpływem tej trucizny.

Cześć bohaterskiemu uczonemu, który nie wahał się postawić życia swojego na kartę dla nowych odkryć naukowych.

Na zdjęciu prof. Hansen przy aparatach, służących do wyodrębnienia „ciężkiej wody". Nawiasem powiedziawszy, woda ta jest bardzo droga, gdyż gram jej kosztuje 15 złotych.

Z POZNANIA.



W Poznaniu odbyło się poświęcenie nowego, wspaniałego pawilonu 7-go okręgowego szpitala wojskowego. Pawilon ten przeznaczony został na pracownie naukowe i ambulatorja. Wyposażony jest w najbardziej nowoczesne przyrządy i aparaty lekarskie. Na zdjęciu przedstawiciele świata lekarskiego i wojskowego, którzy brali udział w poświęceniu. Siedzą m. in.: pp. prez. Więckowski, wicewojewoda Kaucki, generał Zahorski Wł., rektor dr. Runge, prof. dr. Jonscher, prof. Jurasz, płk. Wojtowicz, kapelan Dymarski i inni.

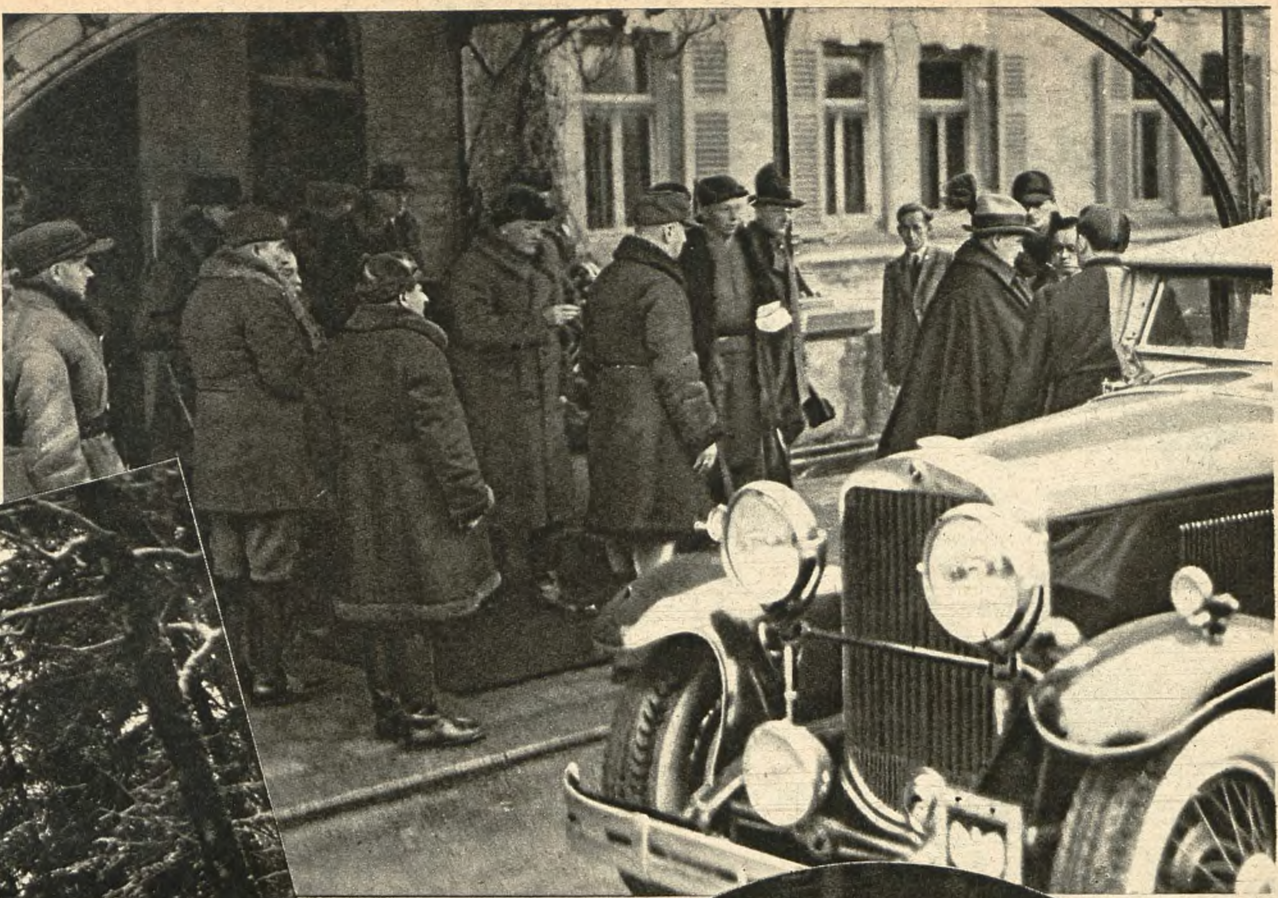
PRZESTAŁO BIĆ WIELKIE SERCE.



W Warszawie zmarł w setnym roku życia senator Bolesław Limanowski, najstarszy polski bojownik o niepodległość, prześladowany i więziony niejednokrotnie przez zaborców, członek rządu narodowego na Litwie w 1863 r. Pogrzeb ś. p. Limanowskiego zamienił się w wielką manifestację patrjotyczną, w której wzięli udział przedstawiciele rządu, świata naukowego i politycznego. Na zdjęciu moment przemówienia marszałka Raczkiewicza nad otwartą mogiłą ś. p. Limanowskiego.

POLOWANIE w PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Wszystkie zdjęcia Fot. W. Pikiel — Warszawa.



Wyjazd na polowanie w d. 28 stycznia. W pośrodku Pan Prezydent Rzplitej. Na prawo obok auta premjer Goering.



Fragment Puszczy Białowieskiej.



Dzik w biegu.



P. Prezydent Rzpltej i premjer Goering w drodze na polowanie.

Puszcza Białowieska, ta królowa borów polskich, już oddawna przez tyle dni nie rozbrzmiewała odgłosem rogów myśliwskich, jak na ostatniem polowaniu reprezentacyjnem, które odbyło się w dwóch turnusach: 25 i 26, oraz 28 i 29 stycznia. Tym razem wielkie łowy miały charakter wyjątkowy, bo oprócz zwykłych gości ze sfer dyplomatycznych, P. Prezydent R. P. gościł w Białowieży Wielkiego Łowczego Rzeszy, premjera pruskiego Goeringa. Puszcza Białowieska ma jako teren myśliwski i jako rezerwat leśny taką sławę, iż nic dziwnego, że wielkorządca myśliwski sąsiadującego z nami państwa zapragnął poznać ten unikat wśród kniej europejskich. Niestety — pogoda nie dopisała, szczególnie w pierwszym turnusie, ale łowy — to nie bal, myśliwi nie są z cukru, więc nawet największa ulewa nie popsuła humorów i nie odstraszyła rycerzy św. Huberta.

Najgorzej, co do pogody, wypadł pierwszy turnus. Pogoda była fatalna, błoto okropne, tak, że od miotu do miotu trzeba było jeździć furmankami, rzadziej saniami, co przedłużało mioty. Drugiego dnia — było jeszcze gorzej: padał ulewny

(Ciąg dalszy na str. 8-ej).

POLOWANIE
W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.



Premjer Goering na stanowisku.



Ludzie z nagonki ciągną zabitego dzika.

Ciąg dalszy ze str. 7-ej.

deszcz, mimo to pierwszego dnia padło 14 dzików i dwa rysie, a drugiego — 5 dzików i 7 lisów. W każdym razie przez te dwa dni więcej strzelały aparaty fotograficzne i kinematograficzne, niż strzelby myśliwych.

Ponieważ jednak premjer Goering brał udział w łowach dopiero w drugim turnusie, więc pogoda namyśliła się i z motywów reprezentacyjnych zgodziła się na zawieszenie broni, aby nie skompromitować puszczy. Już w niedzielę, która była dniem przerwy, zaczął padać śnieg, a wieczorem lekki mróz ściął rozmokłe tereny, tak, że wieczorem, gdy specjalnym pociągiem przybył do Białowieży Wielki Łowczy Rzeszy, pogoda wystąpiła w pełnej gali.

Marzeniem myśliwskiem premjera Goeringa było zabić rysia, to też pierwszego dnia drugiego turnusu polowano głównie na rysie. Niestety — małe tygrysy nie ruszyły i tylko syn Pana Prezydenta, radca Józef Mościcki, miał wyjątkowe szczęście: zabił rysia, największego z upolowanych dotychczas w Białowieży. Olbrzymi dziki kot, długości 1 m. 80 cm. ważył 27 kg. Premjer Goering 20 minut oglądał trofeum z zazdrością. Radca J. Mościcki pochwalić się może wyjątkowym sukcesem, gdyż w pierwszym turnusie również zabił rysia. Łącznie ze sztuką, położoną przez adjutanta prezydenta senatu gdańskiego, również w pierwszym turnusie, były to jedyne trzy drapieżniki, które raczyły się pokazać myśliwym. W poniedziałek zabito ogółem: 9 dzików, 2 lisy, rysia i kozła.

Drugiego dnia polowano wyłącznie na terenach dziczych. Padło 16 sztuk.

Naturalnie największem zainteresowaniem w drugim turnusie otoczony był premjer Goering i jego świta. Premjer strzela świetnie kulą, jak zresztą cała jego świta: nikt z nich nie ma na sumieniu ani jednego pudła. Goering, który zabił dwa dziki, położył jednego pięknym dalekim strzałem w komorę. Poza tem ciężko ranił jeszcze odyńca, który jednak uszedł. Ogółem goście niemieccy zabili 6 dzików.

Białowieża zaimponowała Goeringowi. W przerwach między miotami zatrzymywał pojazd i podziwiał niespotykane w Europie efekty leśne. Zadecydował utworzenie w Niemczech rezerwatu, podobnego do puszczy białowieskiej, oraz utworzenie na wzór Białowieży muzeum fauny i flory leśnej, które to muzeum nazwał „ideałem". Interesował go bardzo folklor, a specjalną uwagę zwrócił na „łapcie" naganki, które uznał za bardzo praktyczne dla swego celu. Organizacja łowów, która była pierwszorzędna, zaimponowała Goeringowi, a już specjalnie oczarowany był ceremonją myśliwską podczas sztreki, która wypadła wspaniale.

Gdy po powrocie uczestników polowania ułożono przed pałacem myśliwskim trofea i zapalono osiem wielkich kagańców, przed pałac wyszedł Pan Prezydent R. P. wraz z gośćmi. Siedmiu trębaczy zagrało na waltorniach „Honor panów myśliwych", poczem łowczy p. Charczun złożył Panu Prezydentowi R. P. raport z przebiegu polowania. Następnie trębacze odegrali tradycyjną pieśń św. Huberta, stare polskie melodje łowieckie na cześć ubitych dzików, rysiów, rogaczy i t. p., wreszcie na zakończenie „Pożegnanie panów myśliwych". W blaskach kagańców robiło to wielkie wrażenie i premjer Goering oświadczył, iż wprowadzi u siebie podobne obrzędy myśliwskie.

Ponieważ Wielki Łowczy Rzeszy nie mógł przeboleć braku na swoim rozkładzie rysia, pozostał w Białowieży, po odjeździe Pana Prezydenta i gości, jeszcze jeden dzień, aby popróbować jeszcze szczęścia. Niestety, rysie zaszyły się i premjer Goering musiał zadowolić się wilkiem, którego ciężko ranił. Wilk odszedł około 10 km., jednak odnaleziono go po śladach. Do drugiego wilka, który wyszedł razem z pierwszym, premjer nie zdążył się złożyć. Oba te wilki, otropione w nocy, zostały przez naganke tak umiejętnie naprowadzone na premjera Goeringa, iż wyszły na niego w odległości 20 kroków. Oflladrowaniem wilków kierował osobiście Maurycy hr. Potocki, specjalista w nagankach wilczych.

Premjer Goering przez cały czas pobytu swego w Białowieży był w świetnym humorze. Oświadczył, iż czuje się jak na wakacjach i że postara się być częstym gościem na naszych terenach łowieckich.

Wszyscy myśliwi spędzili czas w doskonałych humorach, tembardziej, że nie było żadnych incydentów myśliwskich, które mogły je zakłócić. Wesołym epizodem było wy-

Ciąg dalszy na str. 10-ej.



Ryś, zabity przez radcę Ambasady R. P. w St. Zjedn. A. P. p. Józefa Mościckiego.



P. Prezydent Rzplitej i prezydent Senatu gdańskiego Greiser w drodze na stanowisko.



Dziki...

Wszystkie zdjęcia Fot. W. PIKIEL WARSZAWA.



P. Prezydent Rzplitej na stanowisku.

POLOWANIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Ciąg dalszy ze str. 9-tej

wrócenie się sanek z pp. min. Michałowskim i b. premjerem Jędrzejewiczem. Drugim epizodem, prawie że groteskowym, było ukazanie się w pewnym momencie w miejscu, z którego spodziewano się zwierzyny, pana w meloniku. Myśliwy, słyszący szmer, przygotował się do strzału i rozczarowanie jego było wielkie gdy ujrzał wyłaniającą się postać przeznaczoną do pilnowania porządku. Po polowaniu, które trwało codziennie od godziny 7.30 rano do godziny 17 i po obiedzie wszyscy zasiadali do brydża, który kończył się dopiero o godzinie 3 w nocy. Premjer Goering, który grał przeważnie w partji z gen. Fabrycym, adjutantem Menthe i kpt. Gużewskim, nie miał szczęścia do karty, jednak nie tracił humoru i przyjmował to zrządzenie losu na wesoło. Dla zaspokojenia ciekawości brydżystów podajemy, iż grano po 5 groszy.

Wielkie łowy zakończyły się w środę i rozbrzmiewająca echem rogów myśliwskich puszcza Białowieska zapadła znowu w ciszę, aż do następnej wizyty rycerzy św. Huberta.



P. Haussendorf ze świty premjera Goeringa na stanowisku.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA W. PIKIEL — WARSZAWA.



Ambasador R. P. w Berlinie p. Lipski.



P. Prezydent Rzeczypospolitej w towarzystwie prezydenta Senatu gdańskiego Greisera i myśliwych, którzy brali udział w polowaniu w dniu 25 i 26 stycznia,



Łowczy Puszczy Białowieskiej Harczun daje sygnał.







Dorożkarze warszawscy na postoju.

FELIKS DANGEL.

KONIE WIELKIEGO MIASTA.

Był czas, że groziły koniowi bezwzględne rugi z asfaltów wielkiego miasta.

Z rozrostem motoryzacji, z wszechwładnym rozrastaniem się agend bóstwa Ruchu i Pośpiechu, którym hekatomby składać zaczęła ludzkość... koń, niezastąpiony ongiś towarzysz pionierów na wielkich szlakach cywilizacji, ustępował miejsca motorowi. — Próżnoby go szukać było na lśniących taśmach wielkich metropolji Nowego Świata, w Paryżu na Long-Champs tylko w sezonie wiosennym wyścigów wiecznie śpieszący się Paryżanin oglądać go może, tylko w rannych godzinach po alejach Hyde Parku, spieszący do City, obywatel Albionu uchyla kapelusza przed zażywającym przejażdżki konnej, gentlemanem-królem, tradycyjny i nierozdzielny z Ringami Wiednia, fiakier, dorożkarz berliński w lśniącym ceratowym cylinderku... to już zabytki tylko, to wspomnienia już omalże.

Konia zastąpiła maszyna.

A Warszawa?

Jak zawsze w tym co modne zakochana, zdradziła konia dla maszyny, zdradziła... by powrócić do niego znów i wspomnieć o dawnym swym ukochaniu.

Ukochaniu wielkim...

Czy pamiętacie jeszcze?

Było to w ostatnich latach ubiegłego stulecia... Była piękna, bzami pachnąca niedziela wiosenna i cała Warszawa wyległa w Aleje, by patrzeć na sunące tamtędy pojazdy.

Był odpust w Czerniakowie (wtedy było to jeszcze tak bardzo daleko za miastem), czy też tradycyjne raki z koperkiem w Marcelinie.

Patrzcie, patrzcie, suną pojazdy.

Na pięknym „amerykanie", błyszczącym czerwonemi szprychami wysokich kół, zaprzężonym w cztery siwo-jabłkowite araby, jedzie Gucio Potocki. Kapelusz na bakier, a kwiat w butonierce, zawsze wytworny i uśmiechnięty do pań, które nie wiedzą kogo podziwiać bardziej, miłego charmenza, czy piękne konie.

A dalej biją kopytami bruk zawzięcie piękne, wprzągnięte w czarne lando, trakeny. Złotogniade z szyjami jak odaliski, a oczami gazeli... I znów kosz leciutki, a za nim kawalkada pań i panów na koniach, wszystkie generacje i odmiany almanachu gothajskiego ludzi i koni.

Młode panienki ze starych rodów i starsze damy młodej arystokracji bankierskiej... ale przedewszystkiem konie, w których kochała się Warszawa...

Przed Loursem stawały długie szeregi parokonek (kurs trzy ruble), w których „zadawali tonu" stacjonujący na Agrykoli huzarzy w różowych dolmanach, na każdym zaś rogu sterczały „dryndy", jednokonne pojazdy... dla wszystkich i encyklopedje warszawskie, baedekery dla przyjezdnych. Boże Jedyny! jakież to już dawne czasy. Omalże epoka geologiczna.

Przeżyły dryndy warszawskie, tramwaje konne i elektryczne, przeżyły nędzę wojenną i rekwizycje wojskowe koni... doczekały się motoryzacji... i... zdawało się, że taksówka wyruguje konia ze stolicy...

Było ich mało, malutko, coraz to mniej...

Ale odżyły.

Kryzys im do renesansu dopomógł.

Dorożek samochodowych jest coraz to mniej, a pojazdy konne, tańsze (dla pasażera i przemysłowca), coraz to częściej pokazują się na ulicach. W roku 1920 było w Warszawie niespełna już tylko tysiąc „dryndziarzy", dziś cyfra ich sięga przeszło półtora tysiąca...

A taksówek jest mniej... coraz to mniej. — Nie zastąpisz konia maszyno, nie wyrugujesz go z Warszawy.

Prawda, że straż ogniowa, dawniej pędząca czwórką w zaprzęg z „przodownikiem" konnym na przedzie, nie powróci już do konia, nie powróci doń już pogotowie ratunkowe, ale mimo to koni jest coraz to więcej na ulicach.

* * *

Wdrapawszy się po Bednarskiej pod górę, stanął na Krakowskim ciężki, browarny wóz.

Podchodzi policjant.

— Hej, tam! osoba na koźle! tu stać nie wolno!

— Zara jade, niech konie odetchno...

— No jazda, jazda dalej...

— Zara powiadam, konie odpoczną.

Argument przekonywujący, policjant odchodzi. Na koźle pomruk.

Hale, bede dla jego psikasu konie zdzierał... No... wio Mańka, władza stać nie daje.

* * *

— Bo niech pan siada — jedziemy za to złotówkie. Takie już tera casy...

— Dawno jeździcie na dorożce?

— Trzydzieści lat... Od rewolucji... Mało mnie wtedy socjały nie zabili...

— No?... jak to było?

— A no tak... widzi dziedzic. Stałem na Kruczej, a tu leci „garadowoj" (posterunkowy) i krzyczy że zabili ichniego „okatodocznego" (przodownika). Jedź do Dzieciątka Jezus.

To ja mu mówie: — Bojam sie — bo i mnie zabijo.

— Jedź — powiada tamten — bo dam w gębe. Pojechałem. — A tu od Hożej jak nie zaczno socjały prać z brauningów... Jezu... myślałem, że i ja dostane...

Panie, ja już nie takich jak dziś woziłem... Ho... ho...

— To wasza dorożka?

— A moja i koń mój... Wojskowy... oficerski. Dobry koń... tylko żeby zarobki były...

— A wiele zarabiacie?

— Jak kiedy... Ot czasami to i do dziesiątaka będzie, a jak kiedy to i pięć... Bida panie...

* * *

Gdy szary półmrok uśpioną Warszawę zalega, gdy jak zmęczone nocnym czuwaniem oczy, gasną, jedna po drugiej lampy uliczne, suną od przedmieść wózki włościańskie ze wsi okolicznych.

Konie, znające drogę do targowisk, odbywaną dwa razy w tygodniu, suną same ze zwieszonemi głowami, niezadowolone z przerwanego snu w ciepłej stajni, znudzone i zrezygnowane.

— Wio... malutki...

„Malutki" na zachętę do szybszego biegu strzyże tylko uszami i... ani na trochę nie przyspiesza kroku.

* *

Taki rzadki niestety, a taki miły obrazek. — Mała dwunastoletnia dziewczynka wracająca ze szkoły z tornistrem na plecach zatrzymała się przy stacji dorożek.

Z kieszonki płaszczyka dobywa zawiniątko, w którym są reszty śniadania.

Pół bułki i kostka cukru...

Trochę się boi podejść do konia, któren już ku niej łeb odwraca.

Z wyżyn kozła dorożki, gdzie siedzi „sałaciarz", padają słowa zachęty:

— Niech panienka sie nie boi... Niegryzie... Spokojny.

Aksamitne nozdrza zbliżają się do małej rączki, poruszają się chrapy, a bułka i cukier znika w wilgotnej gębie.

Czy wszystkie dzieci szkolne o koniu wielkiego miasta pamiętają?

* *

Nie powrócą już nigdy w stolicy konne tramwaje; straż ogniowa już nigdy czwórkami nie pogalopuje.

Nie zastąpi też nigdy konia w stolicy maszyna. Najwspanialsze Hispano, na corso sunące, pary gniadych w lejc nie zastąpi... a kabriolet najbardziej sportowy nie zastąpi... siodła... — Koń i Polak... dwa bratanki.

Warszawa k o n i o w i wierną pozostała.



Arystokrata wśród szkap dorożkarskich.



Przedstawiciel proletarjatu końskiego.



Ciężkie konie pociągowe.

GDY OBEJMOWALIŚMY MORZE W POSIADANIE.

Patrząc na dzisiejszy rozwój naszego gdyńskiego portu, tego okna na świat Boży, skąd otwiera się widok na dziesiątki statków, zawijających codziennie z towarami z dalekich krajów, przypominam sobie z pewnym uczuciem dumy przeżycia z historycznego dnia dziesiątego lutego 1920 r. Jako szef Wydziału Oświaty i Kultury sztabu Dowództwa frontu pomorskiego opracowywałem ramy uroczystego obchodu zaślubin Polski z morzem. W Toruniu, gdzie mieściła się nasza kwatera, przez długie tygodnie wrzała gorączkowa praca przygotowawcza. Obmyślaliśmy wszelkie szczegóły programu tego historycznego dnia. Prof. Henryk Uziembło przygotowywał iluminowany rękopis aktu pamiątkowego, jak i głowicę pała, wbitego na brzegu polskiego morza, a kryjącego historyczny dokument objęcia w posiadanie polskiego brzegu. Wykonał również prof. Uziembło złoty pierścień, rzeźbiony w renesansowym charakterze, pierścień, który w kulminacyjnym punkcie uroczystości wrzucił przedstawiciel Wojska polskiego gen. Józef Haller w fale Bałtyku.

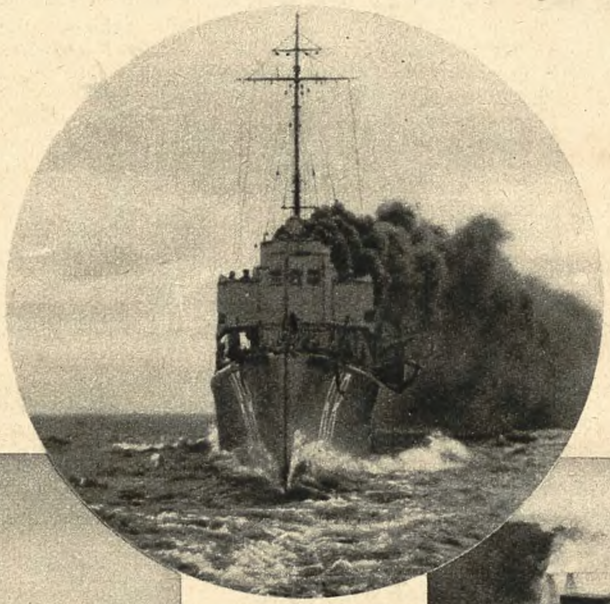
Na uroczysty obrzęd tych zaślubin sproszono najdostojniejszych gości z Polski. Wczesnym rankiem wyruszył pociąg specjalny z Torunia. W przedziale, który zajmowałem, toczyły się gorączkowe rozmowy poetów, literatów i dziennikarzy. Wszyscy dumni byliśmy, iż będziemy świadkami uroczystości, na którą tak długo czekały poprzednie pokolenia. Najgorętszym płomieniem radości żarzyły się siwe oczy prof. Juljana Fałata, strzegącego pilnie jakiś tajemniczy pakunek. Artysta nie chciał nikomu zdradzić swej tajemnicy. W Tczewie wypadł dłuższy postój, gdyż okazało się, iż jakiś niewyśledzony sprawca na dziesięć minut przed przyjazdem naszego pociągu rzucił granat ręczny, czy też lichą bombę na peron. Eksplozja zraniła kilkanaście Bogu ducha winnych Niemców, jadących tranzytowym pociągiem z Malborga do Berlina. Po tym tragikomicznym epizodzie ruszamy dalej już na terytorjum Wolnego Miasta Gdańska, zajętego wówczas przez okupacyjny angielski oddział. Na dworcu gdańskim wita nas kolonja polska sztandarami, okrzykami i śpiewem roty. Stosownie do rozkazu nie wysiedliśmy z wagonów. W odpowiedzi na żywiołową manifestację gdańszczan nie powstrzymał się poeta Niemojewski, lecz donośnym głosem z okien wagonu zacytował mickiewiczowskie słowa „Miasto Gdańsk było nasze i znowu będzie nasze“. W Małym Kacku mijamy pociąg, z którego okien wychylają się obandażowane twarze Niemców, ranionych przez swego rodaka w Tczewie. Pod ich adresem padają ironiczne wykrzykniki i podziękowania za odebranie poczęstunku, przeznaczonego zapewne w Tczewie dla nas. Punktualnie o oznaczonej godzinie dojeżdżamy do Pucka. Szary, mglisty dzień. Na dworcu oczekuje nas licznie zebrana kaszubska ludność w odświętnych strojach oraz długie szeregi kawalerji pomorskiej pod wodzą pułkownika Skrzyńskiego. Szybko dosiadają oficerowie sztabu koni i ruszamy w kierunku portu, dawnej lotniczej bazy niemieckiej.

* * *

Jan ongiś Kserksesowi rycerze radujemy się po długiej tułaczce i znojach wojny widokiem morza i tem, iż dano nam pierwszym stanąć nad polskim brzegiem. Wkrótce widzimy wbity maszt, spoglądający w szaro zamgloną dal, z wyrysowaną blado sylwetą helskiego półwyspu. Morze nie przywitało nas połyskiem fal· lecz pełną majestatu ciszą, zastygłą w lód!... Wybija godzina 12-ta tej osobliwej chwili, w której wszystkie serca Polaków pobiegły tu do nas na ten skrawek zmarzniętego polskiego morza i zjednoczyły się w ciszy i zadumie. Zdawało nam się, iż od zespolonych w tym momencie dusz i serc Polaków pocznie tajać zamarzłe morze. Polska bandera morska poraz pierwszy powoli wznosi się wgórę wśród huku salw armatnich. Szwadron jeźdźców porusza się naprzód ku morzu pewnym krokiem, otaczając dowódcę, który w odchyloną ze skorupy lodowej głębię morską wrzuca symboliczny pieścień. Pod masztem wysłuchujemy przemówień wojewody Raczewskiego i generała Józefa Hallera. Zaledwie skończyli mówcy, gdy przez ciżbę ludzi przeciska się do dygnitarzy państwowych prof. Fałat ze swoją tajemniczą torebką. Z wielkiem namaszczeniem wyciąga z niej trzy butle omszałe węgrzyna, na których widniały trzy daty rozbiorów Polski. Dostojnym gestem podaje przygotowane kielichy. I tym szlachetnym trunkiem piliśmy na pomyślność rozwoju polskiej floty wojennej i rychłej rozbudowy naszego wojennego i handlowego portu.

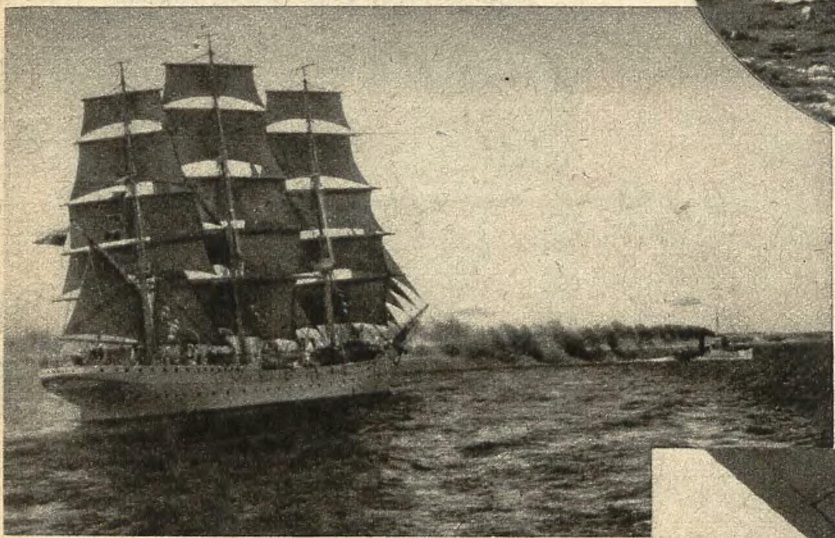
Marzenia nasze spełniły się! Czujemy już wszyscy, iż cała Polska wchłania w swe płuca zdrowe i podniecające do nowych czynów powietrze morskie....

Marjan Dienstl-Dąbrowa.



O. R. P. „Krakowiak“.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. W. PIKIEL WARSZAWA.



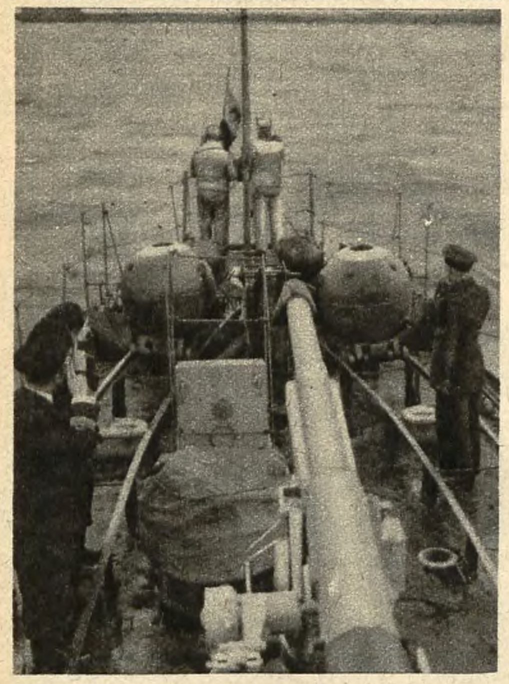
Statek szkolny „Dar Pomorza“.



Widok na wędzarnię ryb na Helu.



Wodnopłatowiec polski.



Podnoszenie bandery na torpedowcu.



Ładowanie towarów w Gdyni.



Pierwszy ogólno-polski Zjazd Akademickiego Związku Morskiego odbył się w tych dniach w Warszawie, pod przewodnictwem generała Orlicz-Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Ag. Fot. „Światowid“.

RYTMY TANGA I KARIOKI





Stoimy w zenicie karnawału. Przebyte dancingi, zabawy i bale wprowadziły nas w nastrój wesołej, beztroskiej zabawy, której ukoronowaniem bywa jednak zazwyczaj dopiero reduta, maskarada, bal kostjumowy. Przynosi on z sobą prawdziwe bomby humoru, wybuchające bez końca czy to z komizmu kostjumu czy nieprawdopodobnej sytuacji, wynikającej z powikłań i „qui pro quo" wśród dobrych znajomych i zupełnie sobie obcych osób.

Rej na maskaradzie wiodą nietylko rytmy tanga czy karioki, ale przedewszystkiem dyskretna intryga, wesołe szermowanie słowem i umiejętność nawiązywania znajomości. Jedne będą niemi tylko przez czas nocy maskaradowej, inne pozostawią trwalsze wspomnienia, ale żadna nie zobowiązuje do kontynuowania dłużej ponad tę chwilę kaprysu, której królestwem jest tylko sala balowa.

Każda maskarada wymaga poświęcenia wiele uwagi sprawie kostjumu. Tak dla pani jak i dla pana. Suknię balową łatwo dobrać gotową w magazynie. Inaczej jest z kostjumem. Trzeba go specjalizować w typie, zastosowanym indywidualnie do sylwetki i urody. Trzeba go wybrać z pośród tysiąca pomysłów czy to z zakresu realistycznych kostjumów etnograficznych narodowych lub historycznych, czy też z przeogromnego bogactwa kostjumów fantastycznych, wyczarowanych przez specjalistów w tym fachu. A że piękna pani przekłada ponad wszystko możność przeobrażenia się w feeryczne zjawisko, więc też kostjumy fantastyczne zyskują zazwyczaj przewagę w wyborze.

Pewne typy urody kobiecej nadają się jednak specjalnie do kostjumów realistycznych. I wtedy najlepiej iść w tym naturalnym kierunku, podkreślając walory urody, np. przez kostjum hiszpański tak twarzowy przez wysokie upięcie grzebieni i koronkowego szala na włosach.

Także i strój krakowski dobrze dobrany do hożej postaci i zdrowych młodzieńczych rumieńców może wyglądać prześlicznie w lśnieniach weselnej korony i bogactwie kolorów kwiecistej spodnicy i wstęg.

A potem w dobrze dobranym kostjumie jakże dobrze czuje się piękna pani, idąc w tany w rytmie tanga czy karioki... **J. Z.**

Kostjum „gentlemen-boy" dla smukłej osoby o wesołem usposobieniu.

Fantastyczny kostjum z kapeluszem kolombiny, uszyty z tiulu i atłasu.







Wzór rysunkowy na kostjum ultra nowoczesny dla wysmukłej pani.

Kostjum fantastyczny w hiszpańskim typie, przybrany bortą i pomponami.

Kostjum wzorowany na marynarskim, odpowiedni tylko dla bardzo wesołych młodzieńców.

U KRÓLA MAKARONU „ALFREDA" W RZYMIE.



Minister Laval opuszcza restaurację „Alfreda", żegnając się z jej właścicielem. Menu Lavala składało się z następujących potraw: Maestose Fettucine al Doppio Burro all'Alfredo, Piselli Romaneschi all'Alfredo, Filetti di Tacchino Dorati.

Rzym, w lutym.

Ostatni akt rozgłosu i sławy, jaką zdobył sobie we Włoszech i zagranicą starzejący się już wódz futuryzmu włoskiego, protagonista dynamizmu w sztuce i życiu narodowem — członek akademji włoskiej, Filippo Tomaso Marinetti — to jego walka o wyrugowanie z jadłospisów i kuchni domowej we Włoszech makaronu.

Marinetti dowodził w odczytach, ulotkach i manifestach, redagowanych hałaśliwie, buńczucznie, że makaron i wszystkie jego formy pochodne: spaghetti, fettuccine, wszelkiego rodzaju lazanki, jako dodatek nieodzowny do zup i rosołów, powodują karłowacenie rasy włoskiej, że tuczą, ale nie sycą, że odbierają Włochom tężyznę, dynamiczność — bo nie zawierają w sobie żadnych witamin. W imię odrodzenia fizycznego domagał się więc Marinetti zupełnego wyrugowania tego znienawidzonego dania z kuchni włoskiej. Jak każdy reformator, chciał ulubiony makaron zastąpić nowemi daniami; stworzył kuchnię „futurystyczną", której jedyny bodaj przejaw żywotności stanowi skromniutka restauracyjka w Turynie, wiodąca nędzny nagół żywot.

Zagrożeni w swej ambicji gastronomicznej zwolennicy i... producenci makaronu zmobilizowali hufce obronne przeciwko herezjom wodza futuryzmu. Stwierdzono więc publicznie, że Mussolini, — choć jest wprawdzie zwolennikiem współczesności w architekturze, bynajmniej nie popiera hałaśliwej akcji Marinettiego. To stwierdzenie odebrało inicjatywie Marinettiego główną siłę atrakcyjną. Fabrykanci makaronu, właściciele restauracyj, wielcy hurtownicy podjęli kontratak i obalili zamach na makaron.

* * *

Gdy minister Laval bawił w Rzymie, miał on dokładnie wypełniony czas. Przyjęcia oficjalne i spożywania posiłków były ustalone z całą skrupulatnością. W przeddzień wyjazdu z Rzymu, minister Laval zbuntował się jednak przeciw protokółowi dyplomatycznemu i oświadczył stanowczo, że tym razem zje obiad w charakterze prywatnym. Dodał, że udaje się do słynnego Alfreda, do czego namówił go podobno w Paryżu były ambasador Francji przy Kwirynale, Henry de Jouvenel.

Wśród władz bezpieczeństwa powstał popłoch, ale minister przeprowadził swoją wolę. Zjawił się w skromnej restauracji przy via della Scrofa, w sercu starożytnego Rzymu, poprzedzany przez kilku agentów tajnej policji.

Wiadomość, że gość rządu zapragnął zjeść obiad u Alfreda, obleciała Rzym lotem błyskawicy.

Sprytny Alfredo, którego nazwisko mało komu w Rzymie znane — brzmi: Di Livio, zmobilizował fotografów. Efekt wizyty min. Lavala w jego restauracji był piorunujący: fotografja mistrza dyplomacji i makaronu, którą reprodukujemy, stanowi dla Alfreda źródło dumy i — nowego rozgłosu.

* * *

O umówionej godzinie mistrz Alfredo oczekiwał mnie w swej restauracji. Poprzedniego dnia zrezygnowałem z rozmowy, nie chcąc odrywać mistrza od jego umiłowanej pracy, przerabiania masłem wielkiego półmisku „fettuccine". Robi to na sali restauracyjnej, na oczach całej publiczności, z przejęciem i zamiłowaniem.

Nazajutrz Alfredo, wymowny jak reporter, odpowiada chętnie na zadawane mu pytania. Jest wciąż pod silnem wrażeniem wizyty Lavala. — Nim przystępujemy do właściwej rozmowy, Alfredo z dumą pokazuje mi w głębi sali galerję fotografij z dedykacjami. Kogo tam niema? Wszyscy sławni śpiewacy włoscy: Gigli, Titta Ruffo, wszystkie głośne śpiewaczki, kompozytorzy i muzycy: Artur Rubinstein, Reinhardt, Meinhardt, cały świat filmowy: Mary Pickford, która pod swą fotografją umieściła pean na cześć alfredowego makaronu — Douglas Fairbanks, który darował mistrzowi złotą łyżkę, przechowywaną przez Alfreda wśród skarbów rodzinnych, Anna May-Wong. Dalej idą fotografje, lub obramowane podpisy wielu królów i książąt. Przeważa Skandynawja, Szwecja, Danja, Norwegja. Król Alfons hiszpański z rodziną, para królewska Sjamu — jednem słowem, wszyscy możni tego świata, odwiedzający Alfreda, ofiarują mu podobiznę z dedykacją, bądź też wpisują swe nazwiska i sentencje do specjalnych ksiąg. Jest ich dotychczas, w ciągu 24 lat pracy samodzielnej Alfreda — kilkanaście. Raz poraz spotyka się i nazwisko polskie. Zmartwiłem jednak Alfreda, dopytując się o fotografję najsławniejszego śpiewaka świata — Jana Kiepury. Odpowiedział bez wahania: „Jeżeli jeszcze nie był u mnie, to napewno odwiedzi mój zakład".

Czyż mogłem w imieniu mistrza Kiepury zaprzeczyć?

Nasza rozmowa trwała przeszło godzinę. Oto relacja treściowa.

Alfredo jest synem właściciela drobnej restauracji na Placu Colonna w Rzymie. Swój zakład prowadzi samodzielnie od 24 lat. Tajemnica powodzenia?

Oto jego odpowiedź:

— Mój zakład, który ma renomę światową, jak Pan widzi, wcale nie ubiega się o luksus. Do mnie przychodzą nie po luksus, którego pełno w restauracjach hotelowych, ale po dobre danie. Starałem się udoskonalić zdobytą w zakładzie ojca wiedzę. Pracuję ciągle sam. Mam do pomocy czterech kucharzy, z których każdy jest specjalistą w innej dziedzinie. Kucharza omnibusa nie toleruję. Musi być specjalistą wybitnym i wytrawnym.

— Mówią, że cała tajemnica pańskich „fettuccine" to jedynie przymieszka masła do ciasta? — pytam.

Alfredo wybucha serdecznym śmiechem. Ten przeszło 50-letni mężczyzna, zdrów i wesół, oświadcza z zadowoleniem:

— To moi konkurenci rozpuszczają takie pogłoski. Jeżeli znają tajemnicę moją, czemuż nie zastosują jej u siebie, czemu nie pobiją mojej sławy?

Pytam o specjalności jego kuchni.

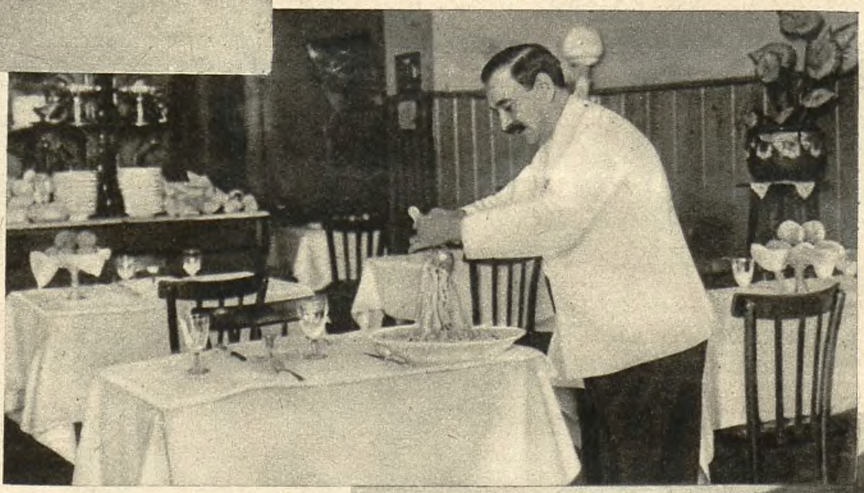
— Przedewszystkiem — moje znakomite „fettuccine".

Jest to makaron płaski, nieco szerszy, niż zwykły, krótszy, przyprawiany na podwójnem maśle w sposób tylko Alfredowi znany. Pełna nazwa włoska tego specjału brzmi: „Maestose fettuccine al doppio burro all' Alfredo". Danie to jedzą z reguły wszyscy cudzoziemcy, jadł je także Laval. A inne dania? „Piselli romaneschi all' Alfredo — groszek po rzymsku, oraz „fileti tacchino Dorati" tudzież świeże karczochy.

Rozmowa nasza przedłuża się. Ryzykuję jednak jeszcze jedno pytanie: Co myśli o kampanji Marinettiego przeciwko makaronowi?

— Widzi Pan, mówi Alfredo z niezwykłem ożywieniem — Marinetti poniósł klęskę, bo nie jest prawdą, że człowiek od makaronu tyje. Makaron wprawdzie chwilowo po jedzeniu rozdyma brzuch, ale napewno mniej powoduje tuszę, niż kotlety i sznycle z jajkiem. Potrawa mączna jest zdrowa, wbrew temu co mówi Marinetti. Zresztą, niech Pan sobie przypomni, co lekarze kiedyś wypisywali przeciwko pomidorom. Później zaczęli zalecać je jako świetny środek odżywczy.

Alfredo jest fanatycznym zwolennikiem makaronu, który przyniósł mu sławę, dwa stopnie — kawalerski i oficerski — orderu korony włoskiej i — jak powszechnie w Rzymie utrzymują — poważny majątek.



Alfredo, przygotowujący własnoręcznie na sali restauracyjnej półmisek makaronu, zwanego „fettuccine".



Suszenie makaronu, narodowej potrawy włoskiej, na brzegu morza pomiędzy Amalf a Salerno. ZDJĘCIA FOT. VEDO — ROMA

Tytuł „Cavaliere Alfredo" umieścił dumnie, zwyczajem włoskim — na jadłospisie, co w pewnym stopniu tłomaczy wysokie ceny tego zakładu: obiad, złożony z trzech dań, wypada nie poniżej 20 lirów — około 9 złotych.

Gdy się żegnamy, prosi mnie Alfredo o uprzejmość, abym jakoś przypomniał mistrzowi Kiepurze, iż czas już, aby zjadł u niego porcję „fettuccine". Bo Alfredo jest świetnym kupcem i dba bezustannie o odnawianie rozgłosu dla „ristorante dal „Cav. Alfredo" Roma.

A któż zdoła zaćmić sławę Kiepury?

Wręb.



ROZKOSZNY PIRACIK.

Bez uczucia trwogi patrzymy na tę przemiłą piratkę, uzbrojoną od stóp do głów. Jest to bowiem Mary Carlisle, w swojej najnowszej kreacji.

OŚMIU PARTNERÓW SYLWJI SYDNEY.



Sylwja Sydney i Gene Raymond w filmie p. t. „Serce Indjanki", w którym wielka ta artystka wystąpi w roli Indjanki.

Gdyby nie udźwiękowienie ekranu, prawdopodobnie nie zobaczylibyśmy nigdy Sylvji Sidney. W erze niemego filmu aktorki musiały być przedewszystkiem piękne i zgrabne, a dopiero potem utalentowane.

Sylvja Sydney, dziecko Nowego Jorku nie myślała nigdy, że wystąpi na ekranie. Nie lubiła filmu i nie myślała nigdy o tem, że kiedyś będzie gwiazdą „Dziesiątej muzy".

Gdy ukończyła szkołę, wstąpiła do Instytutu Sztuki Dramatycznej. Wiele niepowodzeń czekało ją na nowej drodze życia. Ukończyła Instytut chlubnie, ale gdy zaczęła występować na scenie, sztuki, w których grała, nie miały zupełnie powodzenia. Gdy otrzymała większą rolę, dostała na scenie nazajutrz po premjerze ostrych bóli — okazało się, że zachorowała na ślepą kiszkę. Dopiero po paru miesiącach borykania się z losem — udało jej się wypłynąć. Otrzymała poważną rolę w sztuce p. t. „Zbrodnia", obok swego późniejszego partnera filmowego Chestera Morrisa.

Sylvja stała się popularną gwiazdą na Broadwayu.

W tym czasie Hollywood przeżywało ostry kryzys. Poszukiwano gwiazd teatralnych, które umiałyby mówić na ekranie. Bożyszcza niemego filmu otrzymywały trzeciorzędne role, — jeżeli nie umiały mówić. Gwiazdy teatralne, brzydkie, niezgrabne, triumfowały na ekranie. Producenci poszukiwali młodych i utalentowanych aktorek.

Wreszcie zwrócono uwagę na Sylvję Sidney. Po długich błaganiach opuściła ukochany Nowy Jork i wyjechała do słonecznej Kalifornji.

Znów spotkało ją rozczarowanie. Wytwórnia, która sprowadziła ją do Hollywood, dała jej nieodpowiednią rolę i Sylvja, rozgoryczona i rozczarowana wróciła spowrotem na scenę.

Dopiero po roku wytwórnia Paramount zdołała nakłonić ją do powrotu do Hollywood. Dostała odpowiednią rolę i co najważniejsze, odpowiedniego reżysera, który z tej niezwykle utalentowanej aktorki zdołał wydobyć jej możliwości.

Dalsza jej karjera jest znana. Po filmie „Wielkomiejskie ulice", kiedy szturmem podbiła serca kinomanów, wystąpiła w szeregu filmów, które ugruntowały jej sławę.

Sylvja nie jest pięknością. Ma nieregularne rysy. dość korpulentną figurkę, ale takiego niewysłowionego czaru i słodyczy nie posiada bodaj żadna aktorka na ekranie.

Partnerzy jej są zwykle dorodnymi, przystojnymi chłopcami. Miała ich dziewięciu. Pierwszym był Gary Cooper, z którym wystąpiła w „Wielkomiejskich ulicach", drugim był Phil Holmes, przystojny zgrabny blondyn z „Tragedji amerykańskiej".

Chester Morris partnerował Sylwji w filmie „Cudotwórca", Fredric March wystąpił z nią dwukrotnie w „Blaskach i cieniach miłości" i „Sprytnej dziewczynie". Cary Grant grał obok niej w „Madame Butterfly" i „Księżniczce przez trzydzieści dni", George Raft w „Odmęcie ulicy", Donald Cook w „Jennie Gerhardt".

Dziewiątym jej partnerem był Gene Raymond, platynowy blondyn, który wystąpił z Sylwją w „Gehennie kobiet" i w najnowszym jeje filmie p. t. „Serce Indjanki". W filmie tym Sylwja wystąpi w roli... córki wodza Apachców, Tonity.



W kole: Fotografowie są czasem niedyskretni, przekonała się o tem Sylwja Sydney.

HARRY BAUR GENJALNY AKTOR FRANCUSKI.



Harry Baur, jako „Polski Żyd".

Jak wszyscy prawie aktorzy francuscy dostał się na film przez teatr. I dopiero kino dało mu sławę wychodzącą poza granice ojczyzny. Przez wiele lat swego życia grał w Paryżu i na prowincji, w Afryce Północnej i w Belgji, nieco występował w teatrach Szwajcarji francuskiej — i to wszystko, co mówiło o jego pozaparyskiej popularności. Grywał często role szekspirowskie, które najbardziej lubi, bo, jak sam podkreśla, tylko na nich można się nauczyć kompozycji typów. Nie pogardzał jednak i rolami bardziej współczesnemi.

Po niesłychanym triumfie „Dawida Goldera" w jego pierwotnej szacie, powieść postanowiono przerobić na sztukę. Komu dać tytułową rolę, kto może godnie inkarnować postać tak żywo żyjącą w umysłach setek tysięcy czytelników tego największego, sukcesu od lat wydawniczego? Pomyślano o wielu. Ten? Nie. Tamten? Nie. Baur? Może, tak, tylko Baur zadecydowała autorka i dyrektor teatru. — „...tylko Baur" — odpowiedziało echo-publiczność. — I rzeczywiście Baur był niesłychany. Sztuka szła przeszło rok. A gdy pomyślano o filmowem wyzyskaniu tematu, oczywiście że tenże Baur zagrał świetnie tę samą rolę, którą przeżywał tak genjalnie co wieczora. To był jego debjut filmowy, a zarazem początek niebywałego wzrostu jego popularności. Dzisiaj stawia się Baura w jednym rzędzie z Laughtonem.

Drugi film Baura nazywa się „Żyd polski", którego cała polskość polega zresztą na jego pochodzeniu tylko, bo naprawdę wszystko dzieje się w Alzacji. A później coraz częściej widzimy Baura na filmie, w coraz rozmaitszych rolach: jest dyrektorem więzienia, bardzo ludzkim w „Criminel", jest znakomitym komisarzem policji w „Człowieku-zwierzę" (Tete d'un homme), turystą w „Pięciu przeklętych dżentelmenach", potem eksperymentującym lekarzem w „Grze zmysłów" (Cette vieille canaille), a potem pierwsza i świetnie zagrana rola komiczna w „Rotchildzie", francuskiej komedji pomyłek.

Następuje rola ponad role, marzenie wszystkich aktorów: wielki film „Nędznicy". Tutaj Baur występuje raz po raz ze zmienioną maską: włóczęga, galernik, troskliwy opiekun małej Cocette, czcigodny mer Madeleine. Ta świetna rola pozwoliła mu się doskonale wygrać.

Pierwszym filmem w Polsce, który nam pokazał Baura, było „Niepotrzebne dziecko", w którym zresztą jego talent nie miał zbyt wielkiego pola popisu.

W dwóch nieznanych jeszcze w Polsce filmach „Greluchon delicat" i „Homme en or" Baur odtwarza to starszego, bogatego pana, umiejącego dyskretnie usunąć się dla szczęścia kochanej kobiety — to skromnego urzędnika-safandułę, który, aby nie stracić swej żony, młodej kobiety, tęskniącej za szerszem życiem, stawia na jedną kartę swe oszczędności, swe stanowisko w ministerstwie, swą skromną przyszłość emeryta — ryzykuje, wygrywa, staje się wielkim przemysłowcem, a jednocześnie zostaje jak dawniej czułym i kochającym mężem.

Wyliczenie ról Harry Baura, ten suchy spis nie wyraża przecież jego ogromnego talentu, prawdziwości gry, umiejętnego dawkowania wzruszeń, zeskrodkowania na kreowanym przez siebie typie, zainteresowania. Jego wielka inteligencja i kultura świadczą o tem, że sam tylko talent nie potrafi wydobyć tyle ekspresji z każdej roli, o ile nie będzie wspomożony przez umysł jasny i chłonny, inteligencję ciągle żywą i bystrą. Pasmo jego ról, to ciągłe pogłębianie wiedzy aktorskiej: od potężnego, lecz jednolitego tragizmu Goldera do ról bardziej skomplikowanych, bardziej psychologicznie zagmatwanych, przez walkę czujnego sumienia z zawodową ciekawością i obowiązkiem („Criminel" i „Człowiek-zwierzę"), przez typ włóczęgi i nędzarza o umyśle bardzo pogodnym („Rothild") do tak skomplikowanej roli, jak „Nędznicy": wszystko, co najbardziej ludzkie, co budzi żywy dźwięk w każdym widzu — prostota, miłość zawiedziona, poświęcenie, zemsta, męki galernika, solidność obywatelska, uczucia ojcowskie, strach szczutego więźnia, nienawiść i przebaczenie!...

A w życiu prywatnem jest czarującym starszym panem, który nadewszystko lubi książki Dickensa i Teofila Gauthiera. Jest jednym z najbardziej lubianych w towarzystwie, dzięki swej prostocie i zdolności opowiadania fantastycznych historyj.

Alicja Brun.

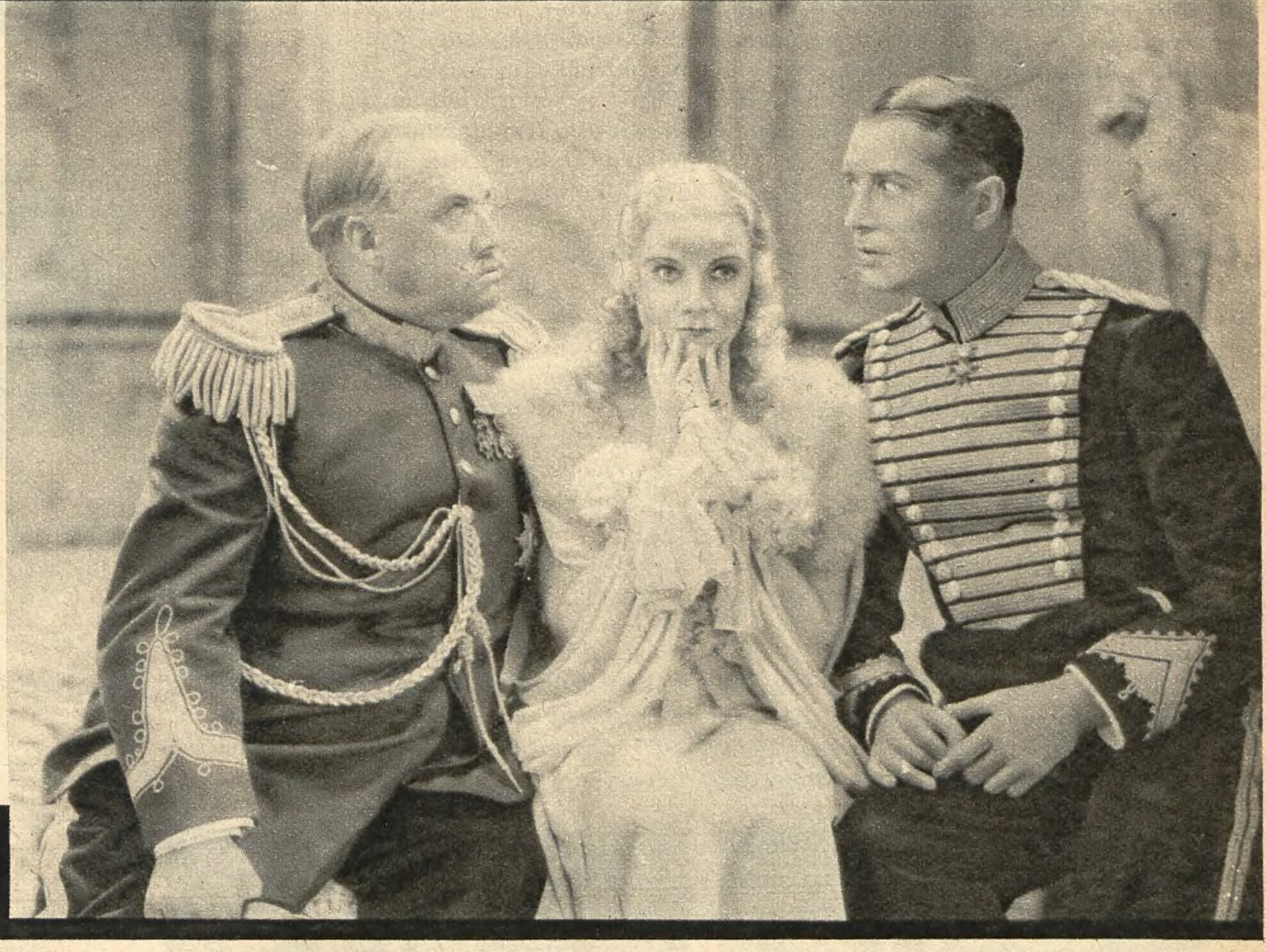
MAŁE PRZYCZYNY I WIELKIE SKUTKI.

Gdyby mała trzynastoletnia dziewczynka nie przysłuchiwała się swego czasu orkiestrze, grającej na lodzie we Wiedniu, to prawdopodobnie „Wesoła Wdówka“, słynna operetka Lehara nigdy nie ujrzałaby światła dziennego:

Interesującą tę histoję opowiadał sam Franciszek Lehar Mauricowi Chevalier i Jeanette Mac Donald, którzy są głównymi bohaterami filmu, realizowanego przez Ernesta Lubitscha i opartego na tej operetce. Lehar był dyrygentem orkiestry wojskowej i marzył o napisaniu operetki. Po napisaniu partytury Wesołej Wdówki, zwrócił się do Paula Steina, największego w owym czasie wiedeńskiego librecisty, z prośbą o napisanie libretta, lecz Stein nie miał czasu dla wojskowego muzyka. W tym czasie grywał Lehar na wielkiej wiedeńskiej ślizgawce i pewnego dnia, gdy orkiestra grała właśnie jego własne kompozycje, usłyszała je mała Liza Stein i zachwycona melodjami zwróciła na nie uwagę ojcu. Stein zainteresował się nieznanym muzykiem, posłuchał orkiestry jego w słynnym Praterze i zdecydował się na napisanie libretta do operetki wojskowego dyrygenta.

A po krótkim czasie operetka ta odnosiła na wszystkich scenach sukcesy, które wielki majątek przysporzyły twórcom.

Obecnie zrealizowała wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer film oparty na tej nieśmiertelnej operetce. Chevalier, MacDonald, Lubitsch, Irving Thalberg, Franz Lehar, to nazwiska, które mówią same za siebie.



Moryś Chevalier w roli księcia w „Wesołej wdówce“. Partnerką jego w tym filmie jest Jeanette MacDonald. Reżyseruje Lubitsch.
Fot. „METRO GOLDWYN MAYER“.

KILKA CHWIL Z LINDORFÓWNĄ.

Wywiad „Światowida“ ze znakomitą artystką.



Zofja Lindorfówna, znakomita artystka warszawska.

Pannę Lindorfównę znaliśmy dotąd, tylko ze sceny. Słyszeliśmy o niej zawsze, jako o artystce, dla której teatr jest żywiołem, bez którego trudno byłoby jej żyć.

O artystkach wogóle mówi się zawsze, że są tak zajęte, iż wywiadów mogą tylko udzielać w jakiejś przerwie. Istotnie, na nasz telefon do domu, odpowiedziano: „Pani niema w domu, jest w teatrze na próbie“.

Poszliśmy więc do teatru. Wywiad odbył się więc zgodnie z tradycją „podczas przerwy“.

* * *

Na korytarzu, u wejścia za kulisy Teatru Polskiego spotykamy reż. Warneckiego.

— Czy można panu na chwilę zdekompentować zespół?

— Z kim pan chce mówić?

— Z p. Lindorfówną.

— Za chwileczkę. Właśnie kończy pierwszy akt. Może pan się zatrzyma w tej garderobie.

* * *

P . Lindorfówna „po cywilnemu“ jest równie śliczna, jak na scenie. Można to napisać bez przesady i z czystem sumieniem. Ta sama twarz, jakby zawsze lekko zażenowana, ten sam wdzięk w całej postaci i ten sam ujmujący głos. Proszę o wywiad dla „Światowida“.

— Nie drukowaliśmy jeszcze żadnej rozmowy z panią. Pozwoli więc pani zadać sobie kilka pytań. Zacznijmy od rzeczy aktualnych. Nad czem teraz pani pracuje?

— Próbujemy z reż. Warneckim komedję Bernsteina „Nadzieja“. — Gram rolę kopciuszka, niekochanego przez własną matkę. O treści sztuki nie będę mówiła, bo to niezbyt dobrze wpływa później na przedstawienie.

Wieczorami, jak panu wiadomo, gram w „Moście“ Szaniawskiego. Wznowienie tej sztuki było wyczynem prawdziwie sportowym. Po 2-letniej przerwie, kiedy każdy z nas aktorów grał już w kilkunastu innych sztukach, musieliśmy po dwu zaledwie próbach iść na scenę i grać.

— Cofnijmy się teraz trochę wstecz. Zadam pani pytanie, może trochę banalne...

— ...banalne pytania są nieraz bardzo życiowe...

— Dlaczego została pani aktorką i kiedy zaświtała pani pierwsza myśl o karjerze scenicznej?

— Hm... na to pytanie będzie trochę trudno dać odpowiedź. Dlaczego zdecydowałam się na wybór tego zawodu?

Proszę pana, teatr „brał mnie“, że się tak wyrażę, od najmłodszych lat. Pierwsze wrażenia i przeżycia datują się jeszcze z czasu, kiedy rodzice zabrali mnie jako 3-letnią dziewczynkę na operetkę „Krysia Leśniczanka“. Do teatru chodziłam później bardzo często. Każda sztuka robiła na mnie ogromne wrażenie, stopniowo zaczęło się budzić zamiłowanie do samej gry aktorskiej; coraz też częściej myślałam o możliwości przejścia z roli widza do roli aktora.

— Ile lat miała pani, kiedy ta rzecz się skrystalizowała?

— Zdaje się, czternaście. Ale ciekawe, że nie odrazu myślałam o karjerze aktorki dramatycznej. Początkowo marzyłam o tańcu, później o śpiewie, wkońcu jednak doszłam do wniosku, że najbardziej będzie mi odpowiadała praca w teatrze dramatycznym.

Teatr pociągał mnie nietyle może widokami zdobycia sławy. Chodziło mi raczej o samą sztukę. Możliwość wżywania się w pewne role i chęć odtwarzania ich w jak najdoskonalszy sposób, była tym bodźcem, który zdecydował o tem, że po ukończeniu w 16-tym roku gimnazjum Konopnickiej, zapisałam się do szkoły dramatycznej p. Hryniewieckiej. — Pierwszymi moimi nauczycielami na scenie byli: Solski i Zelwerowicz... Debiutowałam w 1921 roku w „Teatrze Rozmaitości“. W rok potem grałam w „Żeglarzu“. Z tego okresu mam jeszcze fotografję, pokażę ją panu...

— Czy długo grała pani w tym samym teatrze?

— Czy długo?... Gram w nim stale. Przecież „Rozmaitości“ to dzisiejszy „Narodowy“. Kilka razy brałam wprawdzie udział w objazdach po kraju, ale stale pracowałam na tej samej scenie i, jak pan widzi, w tym samym zespole pozostaję po dziś dzień.

— Zadam pani jeszcze jedno pytanie z serji banalnych? Czy pani uprawia jaki sport?

— Nie, żadnego sportu nie uprawiam. W swoim czasie jeździłam konno, ale teraz i to zarzuciłam.

— Więc tylko teatr istnieje dla pani?

— Tak, i to mi najzupełniej wystarcza.

B. Si.

Z TEATRÓW POZNAŃSKICH.

Trzy teatry ma Poznań... Mógłby ktoś powiedzieć, że na ćwierć miljonowe miasto jest ich (np. w porównaniu z Krakowem) za wiele, ale w tym wypadku uwaga taka o tyle nie byłaby uzasadniona, że Poznań ma istotnie zdawna prawie· że wyjątkowe przywiązanie do teatru. Oczywiście w pierwszym rzędzie do teatru dramatycznego.

Ale i opera jest tutaj popularną. Gdy swego czasu chciano ją zwinąć, powołując się bądź to na obecny kryzys, bądź na rzekome przeżycie się tego rodzaju sztuki teatralnej, ogół społeczeństwa poznańskiego przeciwko tym zamierzeniom zaprotestował i uzyskał to, że operę prowadzi się nadal, chociaż już nie pod zarządem miasta, ale pod formą zrzeszenia.

Ciężkie czasy i w Poznaniu oczywiście nie są lżejszemi. Musi się z tem liczyć także i teatr, z jednej strony obniżając ceny biletów, z drugiej zmieniając często repertuar. Ale na chlubę kierowników wszystkich trzech teatrów stwierdzić trzeba, że nie zniechęcają się oni temi ciężkiemi warunkami, że w szlachetnej konkurencji pomiędzy sobą pracują dla dobra poznańskiej sztuki.

Tak np. opera poznańska wystawiła ostatnio trzy dawne, ale zawsze popularne opery: „Don Juana", „Aidę" i „Wilhelma Tella". Na występy gościnne sprowadziła naprzód doskonałą śpiewaczkę p. Helenę Sadoweń, później zaś świetnego tenora Drabika, który tyle już dla propagandy polskiej sztuki zdziałał na scenach jugosłowiańskich, ostatnio w operze stołecznej w Belgradzie. Drabik tem chętniej przybył do Poznania, że tutaj przecież przed 15-tu laty rozpoczął swą karjerę artystyczną. Rzutki dyrektor opery poznańskiej p. dr Zygmunt Latoszewski zapowiada jednak w bliskiej przyszłości przedstawienie w Teatrze Wielkim dwóch oper, w Polsce dotychczas nieznanych: jedną z nich będzie opera komiczna Wolff-Ferrariego „Czterech despotów", druga: „Nieszpory sycylijskie" Verdi'ego.



Marja Kaupe, artystka opery poznańskiej.



Zofja Korejówna, artystka Teatru Polskiego w Poznaniu.
Fot. Dorys — Warszawa.



Jadwiga Zaklicka, artystka Teatru Nowego w Poznaniu.

Teatr Polski, poświęcony literaturze dramatycznej, a pozostający pod dyrekcją pp. Roberta Boelkego i Maksymiljana Piotrowskiego z ogromnem powodzeniem gra „Rozkoszną dziewczynę", tak popularną i na warszawskiej scenie komedję muzyczną. Ostatnio zaś złożył hołd wielkiej literaturze, wystawiając Jana Kasprowicza „Marchołta" w inscenizacji prof. Papee, który do tego czynu artystycznego przez kilka już lat wszechstronnie się przygotowywał.

Zajmująco przedstawia się również działalność trzeciej sceny poznańskiej, Teatru Nowego, którego kierownikiem artystycznym jest p. Teofil Trzciński, b. dyrektor Teatru Miejskiego im. Juljusza Słowackiego w Krakowie. Ma on specjalny dar odkrywania młodych talentów. Ostatnio wystawiona sztuka Teodora Dybowskiego „Po tej i tamtej stronie" to dzieło dziewiątego już zkolei autora, „odkrytego" przez dyr. Trzcińskiego. Na najbliższą przyszłość zapowiada on inną prapremjerę polską. Będzie nią efektowna barwna sztuka „Mistrz Twardowski", napisana przez G. Witta, pod którym to pseudonimem ukrywa się pewna bardzo wybitna osobistość poznańska. Pewnego rodzaju sensacją będzie strona dekoracyjna, zaprojektowana przez... poetę A. M. Swinarskiego. Dyr. Trzciński ma również w tece farsę Magdaleny Samozwaniec i rewję lokalną „Poznaj Poznań". Narazie utrzymuje się na afiszu zabawna farsa Arnolda i Bacha „Hurra — jest chłopczyk".

Oto w skrócie obraz i aktualnej sytuacji i zamierzeń na przyszłość wszystkich trzech scen poznańskich. Publiczność ma w czem wybierać, a wszystkie trzy teatry dają jej gwarancję, że to, co grają, przygotowują zawsze bardzo starannie. W ten tylko sposób bowiem mogą się nawet i w dzisiejszych ciężkich czasach utrzymać w ćwierćmiljonowem mieście trzy teatry.

H. Śmigielski.



Ada Zasadzianka, artystka Teatru Polskiego.



Olga Olgina, artystka opery poznańskiej.
Fot. Kirchner — Warszawa.



„Marchołt gruby a sprośny" Jana Kasprowicza na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu.
St. Markiewicz — Poznań.



Teofila Koronkiewiczówna, artystka Teatru Polskiego w Poznaniu



Helena Majchrzakówna, artystka opery poznańskiej.



„Wilhelm Tell", opera Roosiniego na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu
J. Puciński — Poznań.



„Po tej i tamtej stronie", dramat Teodora Dybowskiego na scenie Teatru Nowego w Poznaniu.
St. Markiewicz — Poznań.

REWJA KANDYDATÓW FILMOWYCH.



Fot. Leon Sprung — Kraków.

BRONISŁAW MICHALIK
(Kraków).

„Urodziłem się w 1912 r. w ziemi Tarnopolskiej. Ojciec mój był zarządcą dworu. Kiedy wybuchła wojna, rodziców moich ewakuowano do Czech. Cierpieliśmy tam wielką biedę. Obecnie mieszkam w Krakowie. Marzę o karjerze filmowej. Z mistrzów ekranów zagranicznych najbardziej podobają mi się Clive Brook, Wallace Beery i Conrad Veidt, z polskich zaś Jaracz, Cybulski i Bogda".



Fot. Schässler — Jezierzany.

EDMUND KRAJEWSKI
(Wąbrzeźno).

„Z zawodu jestem droguerzystą. Debiutowałem już w filmie a mianowicie w pomorskim melodramacie p. t. „Panienka z chmur", realizowanym przez Marwin-Film w Toruniu w 1928 r. Wytwórnia ta jednak szybko zrobiła plajtę. Idealem moim jest Borys Karloff, odpowiadają mi bowiem filmy niesamowite, interesuję się bardzo okultyzmem i hypnotyzmem".





Fot. W. Miernik — Bieruń Stary.

FRANCISZEK MRZYK
i JAN NIESYTO
(Bieruń Stary).
ROMAN BULLA
(Jajosty).

„Nie posiadamy większego wykształcenia, gdyż ukończyliśmy tylko szkołę ludową. Mieszkamy w Jajostach w powiecie Pszczyńskim na Śląsku. Chcielibyśmy utworzyć zespól akrobatów filmowych, gdyż mamy w tym kierunku wielkie zdolności. Polsce zaś potrzeba nietylko amantów filmowych, ale także aktorów, którzyby mogli występować w filmach cyrkowych, detektywicznych itd. Najlepiej odpowiadałaby nam role „Czterech djabłów", bo głównymi jego bohaterami są akrobaci cyrkowi. Czy nie kręci kto podobnego filmu w Polsce?"



STEFAN HOJA
(Tuchola).

„Mam lat 22, ważę 56 kg. (mało co?). Podobno posiadam wielkie zdolności baletowe i sceniczne. Żyję tylko myślą o karjerze filmowej. Z artystek zagranicznych za największą gwiazdę uważam Gretę Garbo a z krajowych Norę Ney i Marję Malicką.

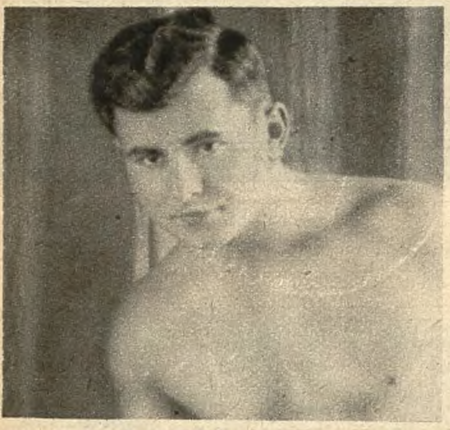
Cieszę się bardzo, że redakcja „Światowida" otworzyła dział rewji kandydatów filmowych, bo przez to daje ludziom możność wypowiedzenia się, o tem co myślą o filmie i jakie są ich zamiary i nadzieje. Może spocznie na mnie oko reżysera?"



MAKSYMILJAN BISKUPSKI
(Chodzież).



LEON WASSERMANN
(Jezierzany).



MARJAN ANDRZEJEWSKI
(Orchowo).

„Urodziłem się w 1914 r. w Konarach (powiat Rawicz) jako syn leśniczego. Do gimnazjum uczęszczałem w Trzemesznie. Przypuszczam, że nadałbym się do ról sportowych w filmie. Jestem doskonałym gimnastykiem i zdobyłem szereg nagród na popisach sokolich. Podnoszę prawą ręką 60 kg. Uprawiam lekkoatletykę i gimnastykę na ziemi i na przyrządach. Próbowałem swych sił w walce francuskiej, amerykańskiej, japońskiej i cygańskiej.

Najbardziej odpowiadałaby mi rola, jakiegoś człowieka leśnego n. p. Tarzana".



Fot. H. Białkowski — Warszawa.

HENRYK REJCHERT
(Wołomin).

„Mam sklepik z materjałami piśmiennemi, przez cały dzień sprzedaję papierosy i gazety. Obok lady mojej przewijają się, jak w filmie ludzie mniej lub bardziej interesujący. Chwilami wydaje mi się, że jestem bohaterem jakiegoś filmu z szarego, bezbarwnego życia. I taka rola odpowiadałaby mi najbardziej Z polskich artystów najbardziej cenię Mieczysława Cybulskiego, bo to mój kolega z Moskwy"

GOLGOTA.



Scena z monumentalnego filmu francuskiego „Golgota". Pierwszy od lewej aktor Jean Gabin, który gra rolę Piłata Poncjusza, namiestnika rzymskiego.
Fot. „PARLOFILM" — Warszawa.

„Odzyskałam wiarę w jutro“ mówi MARJA de TEISSEYRE, laureatka Konkursu Filmowego „Swiatowida“



Marja de Teisseyre ze Lwowa otrzymała zł. 1.500 nagrody za scenarjusz filmowy pt. „Historja jednego domu“.

Lwów, 26 stycznia.

„Prosimy o zrobienie wywiadu z Laureatką naszego konkursu literackiego, p. Marją de Teisseyre, ulica Krasuczyńska 3“ — brzmiała depesza otrzymana przez Oddział lwowski z Redakcji „Światowida“ w Krakowie.

Ulica Krasuczyńska... Ruszamy samochodem wraz z fototgrafem za miasto w kierunku romantycznych wertepów, pustkowi i odludzia Krasuczyna pod Lwowem. Na dworze śnieżna zawieja zwala przechodniów z nóg... Po długiem błądzeniu, wypytywaniu i po pokonaniu różnych przeszkód pokazano nam na zboczu wertepu romantycznie wyglądającą, samotną drewnianą wilijkę o dużych, nowoczesnych oknach, otoczoną małym ogródkiem. To jest dom inż. arch. i artysty malarza p. de Teisseyra.

Wchodzimy do wnętrza. W drzwiach spotykamy się z młodą, śniadą blondynką o wyrazistych oczach odzianą w artystyczną pyjamę.

Laureatka „Światowida“, pani Marja de Teisseyre!

Nieoczekiwane przybycie nasze zaskoczyło ją, ale mimo rannej pory — jak z przyjemnością stwierdziliśmy — nie było niemile widziane.

Wyłuszczyliśmy krótko, o co nam chodzi.

P. de Teisseyre z szczerą radością, której nie ukrywała, zgodziła się udzielić wywiadu dla „Światowida“

— ..Przecież „Światowidowi“ zawdzieczam, że odzyskałam spowrotem największy skarb człowieka, mój dawny optymizm i wiarę w jutro... — mówiła z rozjaśnioną twarzą do nas.

Oto co usłyszeliśmy od naszej sympatycznej laureatki:

— Na postawione mi przez pana pytania odpowiadam: Moja karjera literacka? Muszę się uśmiechnąć... Naprawdę... nigdy — nic... Scenarjusz nagrodzony był moją pierwszą robotą literacką. Nie było nawet marzeń i ambicyj. Było całkiem inaczej: Uniwersytet, dyplom z historji, praca pedagogiczna. Uczyłam niesfornych chłopaków w XII gimnazjum i miłe dziewczynki w gimnazjum Królowej Jadwigi. Na lekcji wyżywałam się doskonale ew mojej pasji twórczej, gdy potrafiłam zainteresować moich chłopców kwestją ustroju Rzymu starożytnego tak, że zapomnieli na chwilę o ostatnim meczu i przestali grać w „szewca“ pod ławką...



Skromny domek państwa Teisseyre'ów na przedmieściu Lwowa. *Fot. L. Oberhard — Lwów.*

Miałam dobrą miłą pracę — i... miałam własne pieniądze... To znaczy, że mogłam stwierdzić osobiście, iż naprawdę wieża w Pizie jest pochyłą, że mogłam deptać po odwiecznych, wygniecionych mozajkach w kościele św. Marka i aż do bólu w karku oglądać plafony Pałacu Dożów.

Ale po dwóch latach nastąpiły redukcje młodych sił kontraktowych i... bezrobocie. Jeszcze jeden niepotrzebny człowiek na świecie, marnująca się energja, zamknięte możliwości.

...Ma się wtedy tylko bardzo dużo... czasu. Dyskutuje się na rozmaite tematy. Naprzykład film... Projekty, pomysły rzuca się zuchwale, nieodpowiedzialnie. Przecież i tak czuje się w głębi duszy, że nikt nie chce mojej pracy, że nigdzie się nie jest potrzebnym.

Aż raz przychodzi taka mała chętka, żeby napisać scenarjusz.

Pomysł okazuje się świetny. To nietylko ucieczka przed rzeczywistością, to ujście dla nagromadzonej energji, możność wyładowania się w pasji twórczej... Wiem teraz, poco wstaję..., mam swoją robotę. Nie mówię tylko o tem nikomu. Nie mogą dopuścić do zastanawiania się nad realną wartością tego, co robię. Boję się. że ten cały mój wysiłek wyda mi się śmieszny, niepotrzebny i znowu ręce opadną mi bezczynnie. Piszę tylko dla siebie i przez jakiś czas niema dla mnie rzeczy ważnych poza tem, jak np.: uśmiercę mego profesora, jaką znajdę na to syntetyczną wizualną formę, jak zmontuję tę scenę z następnemi, żeby uzyskać ciągłość wizualną, żeby uniknąć rwanego rzucania obrazów. Fabuła mnie mniej obchodzi. Film oparty na samej akcji mi nie wystarcza. Problem jest konieczny, on dopiero nadaje sens cały filmowi. Ale problem to jest to, co się w danym momencie ma najważniejszego do powiedzenia — i to zjawia się samo. Właściwa robota, to szukanie form wizualno-dźwiękowych i ich montaż.

Po ukończeniu scenarjusz powędrował do biurka i leżał tam przez długie miesiące...

Aż raz przypadkowo wpadł mi do ręki numer „Światowida“ z ogłoszeniem konkursu na scenarjusz.

Pójść osobiście, oddać scenarjusz i powiedzieć: „...ja, M. T. napisałam to i to, może się to panom przyda?“ — na to nie miałabym dość odwagi cywilnej. Za długo wystawałam z mojemi pięknemi świadectwami w poczekalniach Kuratorjum szkolnego, by usłyszeć: „Nie trzeba“::: Odebrano mi pewność siebie... Ale konkurs — anonimowe wysyłanie prac, to zupełnie co innego. Tu nie staje się w roli petenta przed panem z urzędową miną, za urzędowem biurkiem. Konkurs to gra z losem.

Właśnie dzięki konkursom mogą się dziać jeszcze rzeczy tak romantyczne, jak mój wczorajszy ranek: Smaruję narty — piękny śnieg — słońce... a równocześnie myślę: „...dziś zmieniam ostatnie 10 złotych... i w lutym znowu trzeba iść do matki„. Wysilam pamięć. Przecież mam jakieś pieniądze po ludziach. Pożyczało się, gdy jeszcze były: Idę do sąsiadów zatelefonować. Dzwonię. Przypominam dług. Może 5 złotych przed końcem miesięca? Słuchawka zanosi się od śmiechu:

— Co? Pięć złotych, kiedy pani bierze 1.500 za scenarjusz?

Nie chcę wierzyć. Biegnę na nartach do miasta. do najbliższego kiosku gazetowego. Wydają mi długo resztę z tych ostatnich 10 złotych. Staram się spokojnie odszukać wynik kankursu. ...Jest. Rzeczywiście... Nazwisko — moje, bezsprzecznie moje, bo i adres mój... Zatykam numer „Światowida“ za pasek i idę na narty... Nie, niemogę... Zanadto mnie serce boli z radości... Siadam w słońcu na śniegu i czytam powoli piękne, tak dla mnie pochlebne „uzasadnienie“... — Moja radość krystalizuje się w jednem: „Paryż — szkoła reżyserów filmowych — poznanie możliwości i techniki robienia filmów — zrobienia scenarjusza, którybym mogła sama zrealizować i zobaczyć na ekranie...“

Biegnę podzielić się z najbliższymi moją radością. Wiedziałam, że mąż mój zajęty był u znajomych naszych pracą nad filmem rysunkowym, wpadłam do nich z okrzykiem: „Kto ze mną jedzie do Paryża, bo ja mam 1.500 złotych?“ Wszyscy patrzyli w pierwszej chwili na mnie, jak na szaloną, potem naturalnie była radość ogólna.

— Jeszcze jedno pytanie: Mąż Pani?

— Mąż mój jest artystą malarzem. Był asystentem katedry rysunków profesora Rosena na lwowskiej Politechnice. Katedrę zwinęli i teraz jest bezrobotnym tak, jak i ja. Obecnie bierze udział w konkursach na projekty polichromji kościołów, w tej chwili kościoła w Chełmie.

Na odchodnem przy pożegnaniu zagadnęliśmy naszą miłą laureatkę o powód osiedlenia się w takiem pustkowiu na Krasuczynie.

— Gdyśmy oboje z mężem — odpowiedziała — mieli posady, kupiliśmy tutaj tanio parcelę. Lubimy takie okolice. Jesteśmy oboje artystami. lubimy sporty. Dom zaczęliśmy budować w roku 1931. W okresie dobrej dla nas konjunktury nie zdołaliśmy go wykończyć rękami rzemieślników i obecnie „z powodu braku kredytów budowlanych“ wykańczamy budowę z mężem oboje dosłownie własnemi rękami. Kładziemy sami podłogi, malujemy ściany, lakierujemy drzwi i okna, jak było ciepło, kładliśmy taras... Człowiek powinien być plastycznym i umieć stosować się do formy i warunków... Proszę powiedzieć „Światowidowi“, że dla mnie uzyskanie nagrody jest powrotem wiary w romantykę życia. W rzeczywistości życie nie jest szare i beznadziejne, nie należy tracić nadziei i umieć czekać...

Korzystając z tej nagrody, p. Teisseyre zamierza wyjechać do szkoły reżyserów filmowych do Paryża. Myśli jej tylko przyklasnąć należy, gdyż szkoła paryska posiada ustaloną reputację. Niewątpliwie laureatka nasza powróciwszy z zagranicy, znajdzie dla siebie szerokie pole działania w Polsce, jako siła pionierska, wytyczająca nowe drogi dla filmu polskiego. Redakcja „Światowida“ cieszy się, że dzięki jej inicjatywie i pomocy kinematografja polska zyskała nietylko wybitną scenarzystkę, ale chlubić się będzie niebawem takżee świetną reżyserką.

M. Chmielewski.

MALINA MICHALSKA — *Rewelacja tańca akrobatycznego.*



Podczas wiedeńskiego międzynarodowego konkursu tanecznego siedzieliśmy w loży jury międzynarodowego obok siebie, jako przedstawiciele Polski, z prof. Haliną Hulanicką. Przewinęła nam się przed oczyma tancerka akrobatyczna.

Prof. Hulanicka spoglądała na nią fachowem okiem znawczyni i powiedziała jakby sama do siebie:

— Ani się umyła do mojej Malinki...

— Pani ma na myśli swoją córeczkę?

— Owszem, ale... duchową. Raczej — pupilkę. Uczennicę. Uczę ją akrobatyki. To niemal fenomen akrobatyczny. Na zimę wypuszczę ją już na scenę...

Przypomniała mi się ta nasza rozmowa, gdy w teatrze Wielkim podczas „divertissement" ujrzałem nagle zdumiewająco wyrobioną młodziutką tancerkę akrobatyczną, wijącą się z kauczukową giętkością i zaprzeczającą wszelkim pojęciom o budowie kości.

Spojrzałem na program i czytam: „Malina Michalska".

Rozejrzałem się po sali...

W kącie pod lożą siedzi pani Halina, spoglądając bacznie na scenę przez swe nieodłączne „lorgnon".

Gdy rozległy się huragany oklasków, błysk radości zaświecił poprzez „lorgnon".

— Pani Halino, czy to właśnie ta Malinka, o której pani wspominała w Wiedniu? — zapytuję.

— Ta sama... Biegnę właśnie do niej. Może pan pozwoli ze mną?

— Chętnie.

Pogawędka z Malinką. Córka zamożnych obywateli z Wielkopolski. Od dziecka marzyła o... cyrku i o... akrobatyce....

Rodzice, oczywiście, wybijali jej to z głowy możliwie najenergiczniej. Uparła się... Mówiła, że ucieknie z jakim cyrkiem wędrownym...

Wreszcie znaleziono wyjście kompromisowe. Malinka pojedzie do Warszawy na poważne studia w akrobatyce tanecznej.

Tak też się stało. 16-letnia podówczas Malinka wstąpiła do szkoły baletowej przy teatrze Wielkim, jednocześnie kształcąc się w akrobatyce tanecznej pod wytrawnem kierownictwem prof. Haliny Hulanickiej, roztaczającej szczególną opiekę nad 18-letnią dziś Malinką, która zamieszkała nawet u swej nauczycielki.

W Teatrze Wielkim szybko poznano się na talencie Malinki. Już ma występy solowe. Narazie w divertissement, a wkrótce w „Wieszczce lalek", gdzie wykona taniec akrobatyczny nawet własnego układu. Zajaśniała nowa gwiazdka na firmamencie polskiego tańca akrobtycznego...

H. Liński.

KUPON Nr. 6 *upoważniający do losowania nagrody*